



N^o 41.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 10 paździer. 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Bajki Krasickiego (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd teatralny. — Przegląd polityki zagranicznej. — Helena Modrzejewska (z drzeworytem). — Przemysł książkowy kujawski (drzeworyt). — Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg). — Nasze typy (dwa drzeworyty). — Szachy. — Rebus. — Przejazdka przez szczyty Kaukazu, skreślił Kazimierz Łapczyński. — Kronika zagraniczna p. J. I. Kraszewskiego. — Nieśmiały, komedia w jednym akcie, według Edwarda Paillerona: Mur mitoyen, ułożył wierszem Kazimierz Kaszewski (dokończenie).

BAJKI KRASICKIEGO,

Szczurek i matka.

illustrowane przez Antoniego Zaleskiego.

tem, nie pojmując niebezpieczeństwa.

Widząc że z myślą igra, chwałił szczurek kota.
Rzekła matka do niego: Fałszywa to cnota.
Na pozór jest on grzeczny, a wewnątrz jad mieści.
Najokrutniejszy taki, co gryzie ją pieści.

Czytelnicy pamiętają zapewne bajkę „Lis stary i młody.“ Dzisiejsza jest jakby jej powtórzeniem, a raczej dalszym ciągiem. Zdradne „myśliwych rzemiosło“ uludne nastawia sidła, pierwsza schadzka już wyjednana, a biedna myszka nakłania łatwowiernie ucha fałszywym zaklęciom zręcznego Lowelasa, którego bajkopis tak energicznie scharakteryzował w postaci kota, co na pozór jest grzeczny, a wewnątrz jad mieści. Biedna myszko! nie wierz zwodniczym słowom! On z tobą tylko igra, jak kot bajki z myślą. Wkrótce może opuszczona, zdradzona, poznasz zapóźno, że najokrutniejszy jest taki, „co gryzie a pieści.“

Ale cóż pomogą rady? Od wieków koty z myszkami igrają, od wieków też odegrywa się na świecie tragikomedia Donżuanizmu.

Matka niebacznego szczurka, którego widziemy u spodu rysunku, podobno najpraktyczniejszy środek obrała, używając siły fizycznej celem wstrzymania synka, który gwałtem drze się do igraszki z ko-



**Kronika
tygodniowa.**

Najwybitniejszym faktem bieżącego tygodnia jest wystąpienie pani Modrzejewskiej, z którego sprawozdanie znajdą czytelnicy pod oddzielną rubryką.

Wypadałoby jednak parę słów jeszcze powiedzieć o „Zbójcach“, których przedstawienie ulegnie kilkuniedniowej odwołce, z powodu słabości pana Tatar-kiewicza.

Owóż przy tém wprowadzeniu na scenę tragedji Szyllera, którą chcianoby o ile możności jaknajdokładniej przedstawić, nastęrczały się niektóre trudności.

Głównie rzecz szła o kostiumy, Szyller bowiem, jak wiadomo, oznacza za epokę swego dramatu drugą połowę osiemnastego wieku, a pomimo tego w Niemczech używają przy przedstawieniu kostiumów daleko wcześniejszych.

Telegrafowano więc do Berlina i Wiednia, i pokazało się że ażeby być w zgodzie ze zwyczajem na tamecznych scenach przyjętym, należy kostiumy postaci w Zbójcach występujących cofnąć aż do epoki Wallensteina, do czego się zapewne zastosuje i reżyserya naszego teatru.

Tutaj może stosowna jest pora oddać sprawiedliwość bezinteresownej usłudze artystów tutejszych, którzy niejednokrotnie, w razie zażądania reżyserji, dostarczali wzorów potrzebnych do kostiumów w różnych dramatach użytych.

Tym razem pan Aleksander Lesser, wybornie obznajmiony z historycznymi niemieckimi kostiumami, przyjął na siebie obowiązek dostarczenia wzorów, a nie pierwszy to już raz utalentowany ten artysta i uczonego archeolog wsparł skutecznie usiłowania sceny naszej.

Toż samo można powiedzieć i o panach Juliuszu Kossaku, oraz Wojciechu Gersonie.

Pierwszy dostarczył kostiumów do Paryżu, a nawiasem mówiąc, rzecz była niełatwa, wzory bowiem użyte z teatru francuzkiego, z epoki w której sztukę Delavigne'a w Paryżu przedstawiano, były czysto fantazyjne i po prawdzie w kostiumach tam użytych trudno było dopatrzeć się cech ubiorów indyjskich z szesnastego wieku.

Pan Kossak starał się pogodzić rzeczywistość historyczną z wymaganiami scenicznymi, i udało mu się to wybornie, a wykonane przez niego farbami wodnymi postacie do sztuki wchodzące, mogłyby śmiało posłużyć do przyozdobienia niejednego albumu wyborowego.

Toż samo można powiedzieć o wzorach pana Gersona, do innego znów dramatu historycznego dostarczonych.

Prace tego rodzaju na ścisłych badaniach historycznych oparte, niemalą są pomocą i dla reżyserji i dla samychże artystów. Bo zdolny malarz nie tylko już sam ubiór, ale i typ fizjonomii odtwarza, ułatwiając przez to charakteryzowanie się aktorowi.

W zagranicznych teatrach istnieją osobne posady kostiumierów, których obowiązkiem jest dostarczać w danym razie wzorów według żądania. Dyrekcja naszych teatrów posiada w bibliotece swojej wzory kostiumów w różnych sztukach użytych, z zagranicy sprowadzane, ale wzory te okazują się niedostatecznymi, i w takich razach trzeba się udawać do pomocy artystów miejscowych, którzy miłując sztukę krajową, chętnie zawsze spieszą wesprzeć ją swoim współdziałaniem.

Na list pana Kar.... z Radomskiego; odpowiadamy co następuje.

Szanowny panie.

Uskarżając się na prowincjonalnych krawców i modniarki, zapytujesz się pan zarazem, dlaczego tak rzadko obecnie pisujemy o modach. Ponieważ otrzymaliśmy już kilka listów podobnej treści, pragniemy dziś za jedną drogą ze wszystkimi się załatwić.

W zadaniu ani w zakresie naszego pisma mody nie leżą. Artykuły o modach, które dawniej zamieszczał Tygodnik Ilustrowany, były tylko wyjaśnieniami do rysunków charakterystycznych, na tle panujących w danej porze mód obmyślanych. Nigdy nie dawaliśmy w tej kwestji poważnej (!) informacji, było bowiem zawsze naszym zdaniem, że powaga z modami nie kwadruje jakoś.

Kronika tygodniowa umieszczała także od czasu do czasu ulotne wiadomości o jakiej modzie przeważnie panującej i nie zarzeka się tej rubryki, o ile z niej myśl jaką użyteczną nadal wysnuć będzie można.

Zresztą istnieje tu kilka pism przeważnie poświęconych modom; kto więc pragnie dokładniejszych pod tym względem informacji, niechaj tam się uda.

Wprawdzie te pisma, jak to pan słusznie zauważyłeś, zdają sprawę wyłącznie prawie z mód kobiecych. Ależ bo, drogi panie, właściwie mody męskie są rzeczą tak pod każdym względem niepotrzebną, że nawet w Paryżu, owiej stolicy mód, tylko pisma specjalne krawieckie zajmują się krojem ubioru męskiego.

Dzisiaj po prawdzie u mężczyzn niema modnego ani niemodnego ubioru. Sposób ubierania się zostawiony każdemu *ad libitum*, i to, o ile mi się zdaje, najskuteczniejszym jest środkiem zadowolenia wszystkich wymagań. Zresztą kobiecie wolno się przyznać że studjuje mody, chociaż to jój zaszczytu wcale nie przynosi; ze strony zaś mężczyzny wyznaczenie tego rodzaju byłoby śmieszne.

U nas w Warszawie, skoro pan chcesz koniecznie wiedzieć o tém, główny warunek mody zależy na drogocie ubrania. Jeżeli naprzykład zwyczajny surdut lub frak kosztuje od dwudziestu do trzydziestu pięciu rubli, u tak zwanego modnego krawca trzeba dziesięć lub piętnaście rubli drożej zapłacić. Zato otrzymuje się materiał ten sam i robotę prawie tę samą, ale na pociechę można ekshibować firmę pod kołnierzem złotymi literami wyszytą i ta firma stanowi właśnie patent bogini mody: za tę firmę się płaci.

Toż samo trzeba powiedzieć i o każdej innej części ubrania: o kapeluszach, rękawiczkach, butach i t. d. Sprowadzone tu wyroby toaletowe paryzkie ani na jotę nie są lepsze od wyrabianych w Warszawie, ale posiadają firmę, i to wpływa na ich pokup.

Więc firma znaczy wszystko, ona jest modą.

Ten więc, któryby chciał peryodyczny buletyn mód u nas układać, powinienby, wzorem wicehrabiny de Renneville, która aż w ósmiu dziennikach помещała reklamy swoje felietonowe, przytoczyć tylko nazwiska niektórych firm rozgłośniejszych i wskazać ceny jakie one nakładają na swoje wyroby. Nam zaś braknie do tego specjalnych wiadomości, a głównie chęci. Dlatego chciej pan nas mieć za wytłumaczonych, iż żądaniu jego pod tym względem zadość uczynić nie możemy.

Jedna z prenumeratorek zapytuje się nas, dlaczego w tak niewielu domach jeszcze w Warszawie urządzono wspólne pralnie, to jest lokale wyłącznie na pranie przeznaczone, które każdy z lokatorów miałby kolejno prawo zajmować na swój użytek. Unika się tym sposobem wilgoci w lokalach pojedynczych, a głównie oszczędza się miejsca i umniejsza kłopotów gospodarskich.

Dlaczego?

A dlaczego rzadko gdzie zastosowano gazowe światło, sprowadzanie wody na piętra etc. etc. etc.

Wszystko to idzie jedno za drugim i gdyby tylko chcieć wejść na pole uwag tego rodzaju, dużyby się do nadmienienia znalazło.

Pisaliśmy już o próbach udzielania lekcji zbiorowych rysunku i malarstwa w mieszkaniu hrabiny Maryi Łubieńskiej, pod kierunkiem panów Kossaka i Pawłowicza. Dzisiaj ten zakład wszedł już w zupełne działanie i lekcje od pierwszego października rozpoczęły się.

Dla pracy kobiecej otwiera się tu nowe pole, zakład ten bowiem, jak wiadomo, wyłącznie uczeniu kobiet jest poświęcony.

Nie idzie tu o nabycie mniej więcej przyjemnego jak to nazywają talenciku, chociaż i amatorki znajdują tam sposobność łatwego kształcenia się tanim kosztem, głównie jednak zwrócono uwagę na cele praktyczne i użytkową stronę kształcenia. Począwszy od pierwszych elementarnych zasad, oprócz nauki malowania pastelami i olejno, wykładanym tam będzie kurs rysunku ornamentacyjnego, z zastosowaniem do potrzeb przemysłu, oraz rysunek na drzewie i drzeworytnictwo.

Pomijając już tę ostatnią część nauki, której praktyczne rezultaty łatwo każdy zrozumieć, z wykształcenia tam zyskanego otwierają się dla kobiet mnożące sposoby zarobkowania.

Do malowania naprzykład na porcelanie lub szkłe używać u nas po większej części trzeba specjalnych pracowników z zagranicy sprowadzonych, na miejscu bowiem bardzo mało kto dotychczas kształcił się w tej gałęzi sztucznego przemysłu, albo sztuki przemysłowej.

A czyż może się znaleźć dla kobiet właściwsze i mniej utrudzające zajęcie jak robota tego rodzaju? Tutaj nie następczą się owe różne niedogodności, na które wyrzekano kiedy szło o zastosowanie w praktyce pracy kobiecej. Czynności tej można się poświęcać w odosobnieniu, bez potrzeby komunikowania się z robotnikami do innej pracy w tej samej gałęzi przemysłu użytymi. A zatrudnienia nie braknie, bo jeżeli w cenie i dokładności roboty będzie można współzawodniczyć z przemysłowcami przybywającymi tu dla zarobku, albo z obstalunkami za-

granicą wykonywanymi, to w miarę mnożenia się sił, wzrośnie i liczba zapotrzebowań.

Sam zaś rysunek ornamentacyjny, czyli mało nastrożycie może zajęcia? Tutaj rzeczywista zdolność znajdzie łatwo pole, spodziewać się bowiem należy, że przy rozwoju przemysłu miejscowego, każdy będzie wolał zużytkować miejscowe siły, aniżeli szukać za granicą wzorów często kosztownych, a niezawsze zadowalających słuszne wymagania.

Nie mówimy już o właściwej nauce malarstwa, w której nietylko przy talencie (o który niestety bardzo trudno), ale nawet przy zdolnościach tylko, oprócz zadowolenia wyższych dążeń duchowych, i praktyczniejszą znaleźć można korzyść.

Zyczymy więc całym sercem powodzenia zakładowi hrabiny Łubieńskiej i nie wątpimy że przy rozwijaniu się w kobietach naszych zdrowych pojęć o powinnościach społecznych i konieczności czynienia im zadość, uczennic mu nie zbraknie.

Przypominamy jednak że pierwszym tu warunkiem jest zdolność prawdziwa, bo nauka, przez najzdolniejszych nawet udzielana nauczycieli, musi znaleźć grunt stosowny, ażeby się rozwinęła z korzyścią, zwłaszcza tutaj, gdzie obok mechanicznej części pracy, konieczną jest w każdym prawie jój zastosowaniu i duchowa inicjatywa.

Przegląd teatralny.

Teatr Wielki: „Adryana Lecouvreur.“ Pierwsze wystąpienie pani Modrzejewskiej.

Jak żywe zajęcia budzą w publiczności warszawskiej sprawy sceny tutejszej, dowodzą tego wystąpienia pani Modrzejewskiej, na które trudno dokupić się biletów.

Tych wystąpień zapowiedziano nam dwanaście, a są to wszystko tragedye, dramata i komedye wyższe. Artystka więc ukaże się nam w całym blasku swojego talentu, w całej rozległości skali dramatycznej jaką włada. Ponieważ po ukończeniu całego szeregu sztuk zapowiedzianych, mamy zamiar dać szczegółowe sprawozdanie o tém niezwykłym w dziejach sceny miejscowej zjawisku, dzisiaj więc pragniemy tu tylko zaznaczyć wrażenie z pierwszego wystąpienia.

Było ono przeważnie sympatyczne.

Zapowiednia przybycia znakomitej artystki krakowskiej do Warszawy, rozgłos jaki ją poprzedził, wyjątki z korespondencyj krakowskich i poznańskich, które przed naocznym przekonaniem się mogliśmy o przesadę posądzać, a dziś najsprawiedliwszymi uznajemy — wszystko to złożyło się na wzbudzenie wysokiego zajęcia w publiczności tutejszej. Dopomogła nawet do tego polemika przeprowadzona o tę artystkę pomiędzy dwiema gazetami tutejszemi, polemika w której nie szło o sąd właściwy, ponieważ przedmiot sporu nie był nam jeszcze znany, ale o wróżby na przypuszczeniach oparte.

Pierwsze więc przedstawienie było świetne, ale i ciekawe zarazem.

Przy pojawieniu się scenie przyjęto artystkę przeciągłym oklaskiem.

Następnie czekano.

Adryana ukazuje się pierwszy raz na scenie w drugim akcie dramatu. Ale sam ten drugi akt napisany jest z wielką sztuką przez autorów. Uwidożnia się w nim artystka utalentowana, w całym blasku zapału dla sztuki, i kobieta kochająca w całej pełni miłości, upoetyzowanej prawie do ideału.

Wypowiedzenie bajki o gołąbkach stało się hasłem pierwszego silnego wrażenia, które z szybkością iskry elektrycznej przebiegło przez tłum.

Bo rzeczywiście w tej bajce, która tryumf Racheli stanowiła, pani Modrzejewska dała nam pierwszą miarę tej dykcji pełnej dźwięków z serca pochodzących, harmonizującej dziwnie z uczuciami utajonemi w głębi duszy każdego człowieka, co choć raz kochał prawdziwie. Ta właśnie możność wywoływania sympatycznego rozgłosu w różnorodnych jednostkach z jakich się składa cała publiczność teatralna, stanowi próbę prawdziwego talentu.

Mniejsza o wiersh, nie pamiętamy, źle czy dobrze osnuty, mniejsza o większą czy mniejszą poprawność

intonacji, w której artystka bardziej zdawała się powodować chwilowym natchnieniem, aniżeli sztucznym przygotowaniem uprzednio obmyślonem; — wszystko to zaćmiwało się, znikalo w tym potoku uczucia, wyrażonym głosem harmonijnym, sympatycznym, o czystych, kryształowych dźwiękach.

Najchłodniejsi nie mogli się oprzeć wrażeniu: cała sala zawrzała oklaskami.

To było przełamaniem pierwszych lodów.

Więc artystka zawiadnęła widzami, którzy z niecierpliwością oczekiwali nowego pojawienia się jej na scenie.

Nie będziemy opisywali szczegółowo całego przebiegu roli, bo zbyt dalekoby to nas zaprowadziło; powiemy tylko że cała postać Adryany wyszła szlachetnie i sympatycznie, nawet w scenie konania, w której tak trudno pogodzić przerażenie jakie budzi ostatnia walka życia z estetycznymi wymaganiami sztuki.

Artystce ułatwiają bardzo zadanie bogate dary głosu i wdzięku w ułożeniu, jakie od natury otrzymała. Postać to stworzona do sceny, łącząca w sobie wszystkie warunki niezbędne do zyskania silnego i trwałego powodzenia.

Owa posagowość grecka, która po śmierci Racheli stała się zadaniem tak trudnym do rozwiązania na scenie francuskiej, którą pani Ristori posiada, ale w surowym tylko pojęciu sztuki wyrobioną, wystudowaną na wzorach starożytnych, z drobiazgową starannością naśladowanych, u pani Modrzejewskiej jest darem naturalnym. Posiada ją ona bezwiednie prawie i umie jej użyć w daną chwilę, jakby instynktowym poczuciem wiedziona. Nie czuć w niej drapowania się przed zwierciadłem wystudowanego; wszystko samo z siebie się układa: wyraz twarzy, zgięcie kibici, fałdy sukni, ruch każdy. Kiedy mdleje, zdaje się spływać na ziemię, a postać jej wówczas układa się w tak piękne kształty, że utalentowany malarz, mając ten model przed sobą, nie by w nim nie znalazł do poprawy.

Dodajmy do tego prawdę jaka bije z każdego słowa artystki. Silniejsze miejsca tém wybitniej wychodzą, im mniej mowa jej zwyczajna i całe zachowanie się na scenie znamionują do nich usposobienia. Każde więc wrażenie bijące z tak zwanego efektu scenicznego, staje się niespodzianką dla widzów, pada na nieprzygotowanych i tém potężniej działa.

Jest to samorodność talentu w wysokości sile. Nie chcemy doszukiwać się czy artystka studiowała jakie wzory i kształciła się na nich, widziemy tylko że rozumie sztukę, kocha ją całym sercem i przebojem zdobył swoje w niej przeprowadza.

To już wiele, to już prawie wszystko. Ale wymagania sztuki są nieograniczone.

Dlatego i w grze pani Modrzejewskiej czuć się dają drobne ujemne strony, zacięrające się pod ogólnym wrażeniem, ale niemniej wymagające wyrównania.

Głos jej, jak powiedzieliśmy, piękny, dźwięczny, perełkowany, niezawsze dajesie utrzymać w tej pełni harmonijnej, którą wysokie daje tylko wyrobienie. Wpływać tu może mniejsze przyzwyczajenie do sceny na jakiej się występuje; w chwilach bowiem wyrazistych nawet półtony artystki mają tę doniosłość, którą Królikowski u nas do tak wysokiej doskonałości doprowadził. To dowodzi że pani Modrzejewska wszystko może i że niedokładności jakie się dają spostrzegać, łatwo jej będzie zatrzeć przy większym obyciu się ze sceną naszą, różniącą się rozmiarami od tych na których dotąd występowała.

Są to usterki tak drobne, tak łatwe do poprawy, że doprawdy nie godziłoby się może mówić o nich, gdyby wysoki szacunek jaki w nas wzbudził talent pani Modrzejewskiej, nie nakazywał nam bezwzględnej prawdy.

Zresztą, powtarzamy, piszemy sprawozdanie z jednej tylko reprezentacji, być więc może iż nieznanne te zboczenia są przypadkowymi tylko, nieodłącznymi od pierwszego wystąpienia; w każdym razie nikły one we wrażeniu ogólnym. A wrażenie to silne, zdobywające przebojem uznanie i cześć dla talentu. Przy spóźnieniu takiej artystki jak pani Modrzejewska, każda scena świetnieć może, posiada ona bowiem ten sympatyczny pociąg, który przeważnie działa na tłum i wywołuje uwielbienie.

Wacław Szymanowski.

Przegląd polityki zagranicznej.

9 października.

Królowa hiszpańska, po krótkim widzeniu się z cesarzem Napoleonem i jego małżonką na granicy, udała się do Pau na tymczasową rezydencję. Pierwszym aktem królowej na wygnaniu była obszerna protestacja, w której odpowiedzialność za wypadki, włożoną jest na ambitnych generałów, z dołączeniem nadziei, że wkrótce armia i lud powrócą pod skrzydła prawej monarchii i matki. Odezwa ta, z rozkazu rządu tymczasowego w Madrycie, zamieszczoną została w urzędowej Gazecie, lecz żadnego na umysłach nie wywarła wrażenia. W Madrycie marszałek Serrano, stojący na czele całego ruchu, krząta się i pracuje nad utworzeniem nowego rządu, któryby do zwołania kortezów i dokonania wyborów zarządzać mógł krajem. Według ostatnich wiadomości, Serrano z Primem i Olozaga stanowią regencją państwa, dwaj ostatni dotąd wszakże są nieobecni, bo Olozaga bawi jeszcze w Paryżu, Prim zaś jest w Barcelonie. Bądź co bądź, sprawa dynastji Burbonów jest straconą. Fuera los Borbones! Abajo los Borbones! oto okrzyk grzmiący na wszystkich krańcach Hiszpanii, zwiastujący koniec rządów dynastji wprowadzonej na tron przez Ludwika XIV, podtrzymywanej z zapalem jeszcze na początku bieżącego stulecia w czasie wojen napoleońskich, dziś zaś tak zdyskredytowanej, iż nietylko królowa Izabella i jej dzieci, ale nawet żaden ze starszej linii Burbonów nie może być wybranym. Przypuszczenia i domysły co do znaczenia przyszłego głosowania powszechnego, zalegają szpalty dziennikarstwa i jak zwykle grzeszą przesadą i nieprawdopodobieństwem. Tak np. między innymi wymieniają księcia Napoleona jako kandydata do tronu, nie zważając na to iż ani lud hiszpański, ani rząd francuski zgodziłby się na niego nie mogli. Przypuszczenie że Hiszpania nada sobie republikańską formę rządu, nie opiera się także na rzeczywistych skłonnościach narodu. Najwięcej widoków powodzenia ma idea unii iberyjskiej, w razie zaś odmowy króla portugalskiego, wybór paść może na księcia Aosta, młodszego syna króla Wiktora Emanuela.

Dzienniki berlińskie zasadnie odparły zarzut, jakoby Prussy wywołały powstanie w Hiszpanii, celem przysporzenia Francji kłopotów i odwrócenia jej uwagi od Renu. Pogłoski te rzeczywiście niewarte były zbijania, zwłaszcza że interes Prus nie pozwalał na podobne postępowanie, a z drugiej strony upadek Burbonów nie jest żadnym dla Francji neutralnym kłopotem. Z mniejszą zato zasadnością napadają dzienniki pruskie na mowę króla duńskiego, w której monarcha ten wspomniął o głosowaniu powszechnym w Szlezwigu i wyraził nadzieję, że Prusy uznają z czasem słusność tej sprawy. Nord. Allg. Ztg. radaby dowiedzieć, że mowa króla duńskiego jest niejasną. Tymczasem idea głosowania w Szlezwigu północnym zawarowaną jest traktatem pragskim i żadnej nie ulega wątpliwości; idzie tylko o to, kiedy i w jakiej mierze Prusy dopełnią warunków tej umowy. W ogólności wznowienie tej kwestji dało powód do mnóstwa pogłosek i wojennych przypuszczeń, o których w swoim czasie wspomnimy.

Z Austrii donoszą o zaciętej walce centralistów z federalistami, którzy podobno zaczynają brać górę nad swoimi przeciwnikami. Przesilenie ministeryjne, skutkiem którego książę Auersperg podał się do uwolnienia, przypisują właśnie niezgodności zdań tego ministra z kanclerzem Beustem, który przekonać się miał iż jedynie federalizm wybawić może Austrię od wszelkich kłopotów wewnętrznych. Dzienniki doniosły już o dymisji hr. Gołuchowskiego; dziś podają wiadomość, że i czeski namiestnik wziął urlop na sześć tygodni, w zamiarze zupełnego opuszczenia urzędu. Dodać tu należy że stan Czech daje niemało do myślenia gabinetowi. Opozycja elementu czeskiego do tego doszła stopnia, że ulica jest placem codziennych bójek z wojskiem i milicją. W dniu 4 b. m. huzarzy białą bronią rozpedzili tłum ludu, który popołudniu znowu się zebrał w miejscu zwanym Pankracy w liczbie 6,000 i dopuścił się oplakanych nadużyć. Wśród starcia z wojskiem znaczna liczba osób została raniona. W skutek tych wypadków namiestnictwo zawiesiło prawo

publicznego zgromadzenia się. Wiener Ztg. zawiadamia, że dekretem cesarskim wydanym w Budzie d. 1 b. m. tymczasowym zastępcą namiestnika w Galicyi mianowany został radca dworu kawaler Ludwik Possinger-Chaborski.

Ze Wschodu, oprócz zwykłych pogłosek i wiadomości o czynnościach Bulgarów i Greków, otrzymaliśmy dwie depesze z Egiptu i Konstantynopola. Pierwsza donosi o zamachu na życie wicekróla egipskiego, przez niewiedomego [dotąd sprawcę dokonanego, druga zawiadamia że w Stambule odkryto spisek, mający na celu zrzucenie z tronu panującego sułtana i wyniesienie syna poprzedniego władcy. Mnóstwo osób należących do stronnictwa młodej Turcji aresztowano. Fuad-basza na kilka dni przed tym wypadkiem podał się do uwolnienia.

Ostatnie depesze. Wiedeń, 8 października. Rząd turecki oskarża Rumunię iż zagraża Turcyi. Sułtan odwołuje się do interesu jaki mocarstwa mają w utrzymaniu całości państwa tureckiego.

Paryż, 7 października. Rumuński poseł Krezulesko odjechał nagle z Paryża do Rumunii. Etendard twierdzi że podróż ta pozostaje w związku z postawą porty i Fuad-baszy. Francja opiekuje się Rumunią.

Wiedeń, 7 października. Wczoraj odbyła się rada ministrów, na której postanowiono nie ogłaszać jeszcze stanu oblężenia w Czechach. Załoga Pragi będzie wzmocnioną.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

Rozmaitości.

Dowód że kobiety już się tak jak dziś przed dwustu laty ubierały.

Historycy obyczajów mają wyborny materiał w literaturze kaznodziejskiej, w której u nas wielu jest autorów doskonale swój czas przedstawiających. Zwykle, chcąc powstrzymać wszelkiego rodzaju zbytki, wyliczali oni nowości wprowadzane z ujumą i szkoda zwyczajów dawniejszych, malując wierny nieraz obraz pod względem zmian w ubiorach krajowych.

Pisarzy tego rodzaju mamy mnóstwo, od najdawniejszych czasów. Źródło to niewyczerpane, a dla umiających korzystać z niego, wyborna wskazówka gdzie czego szukać i co znaleźć można.

Zdarzyło się nam czytać kazania księdza Jacka Liberciusza, kaznodziei wielkiej wziętości w pierwszej połowie XVII wieku, w których znaleźliśmy ciekawe szczegóły o ówczesnych ubiorach Polek, zupełnie do dzisiejszych zbliżonych.

Pobożny kapłan, gromiąc surowo zbytki pod tym względem naszych pięknych pań w roku 1649, tak się w jednym ze swych kazań wyraża:

„Kiedyż to w Polsce były takie białogłowskie stroje jako są teraz? kiedy one płaszcze poczciwe? kiedy zawicia poważne? Aż panny chodziły kiedy z takimi utrefionymi włosami, z okropnymi pękami z tyłu, jako teraz nakształt kockodanów jakich? Aż takie kształty brzydki wykrojone, twarze malowane, włosy przyprawione mięwały?

„Cóż tu widzieć jeno białogłowy ze swojemi strojami. A jako je wymyślają! Suknie z ogonami na kilka łokci wloką się za niemi bezpotrzebnie. Zawicia raz na szyję zarzucają, albo się niemi jak kominiarze kapturami zawijają.

„A kiedyż wasze matki używały takich jak teraz strojów? Patrzcie na ich nagrobki, obrazy potomnym wiekom na pamięć zostawione, jako przystojne były głów ich ubiory i ciała, nie takie jak teraz kusę lub zbytecznie powłoczyste. Nie widać tam kędziarów, trefów, przepłotów, kaftanów zawijanych, kapeluszy męskich na głowie zakrzywionych. Nie masz przyprawionych pudeł na głowie, z którymi teraz chodzą jako najeżeni puhacze, że ich rozpoznać nie można.“

Dziwne rzeczywiście podobieństwo do dzisiejszych strojów naszych niewiast.

Helena Modrzejewska.

Po wszystkie czasy i u wszystkich narodów pojawianie się znakomitych talentów w różnych gałęziach sztuki było zawsze rzeczą wyjątkową, a u nas może bardziej jeszcze niż gdzieindziej. W Warszawie wprawdzie widzimy dotąd szczupły zastęp prawdziwych artystów i artystek, lecz szeregi jego topnieją jak śnieg majowy, a z tym większym żalem patrzymy na tych reprezentantów sztuki dramatycznej, że nie pozostawiają po sobie następców.

Dlatego też każdy nowy talent sceniczny witamy z serdeczną przychylnością, chociażby jako gość tylko za błąsnął między nami.

Gościem takim na scenie warszawskiej jest właśnie w tej chwili pani Helena Modrzejewska, z teatru krakowskiego, która w krótkim czasie z początkującej w zawodzie dramatycznym wodewilistki, wyrobiła się na artystkę tragiczną, zajmującą obok tego nieposlednie miejsce i w komedii.

Aby się o tém przekonać, dość przejrzeć daty. P. Modrzejewska, urodzona r. 1842, wystąpiła po raz pierwszy w lipcu 1861 r., na teatryku amatorskim w Bochni (hrabina w Białej kamelii). Obecny na tém przedstawieniu p. Łobojko, dyrektor prowincjonalnego towarzystwa, skłonił ją ażeby udała się do Sącza, gdzie dawał wówczas przedstawienia. Tak więc rozpoczęła swój zawód, przejeżdżając z miasteczka do miasteczka, bez wzorów, bez kierunku, zmuszona występować w najrozmaitszych, najniewłaściwszych często dla niej rolach. Przy schyłku 1862 r. zaangażowano ją do Lwowa, lecz po sześciu miesiącach, dla małej pensji i mniejszego jeszcze repertuaru, przeniosła się napowrót na prowincję, gdzie ją poszukiwano, z powodu łatwości przyjmowania się

rolami wszelkich rodzajów, który to przymiot dla ubogich koczujących scen jest skarbem nieocenionym.

Odtąd przez półtrzecia roku przebywała w Czerniowcach, pod dyrekcją rodzzonego swego brata Józefa Bendi, grywając głównie w operetkach i wodewilach.

W październiku 1865 roku hr. Adam Skorupka otrzymał dyrekcją teatru krakowskiego. Zaangażo-

odkrył przy pierwszych zaraz próbach żywioł dramatyczny w młodej artystce i wyłącznie ją w tym kierunku poprowadził. Po raz pierwszy wystąpiła w tragedji *Salomon* W. Szymanowskiego, następnie w *Annie Oświecimównie* Antoniewicza, która torola stanowi epokę w jej artystycznym zawodzie. Odtąd publiczność krakowska z coraz większym zapętem ją przyjmowała.

Jedynym kierownikiem i nauczycielem pani Modrzejewskiej był dyrektor Jasiński; kiedy opuścił teatr krakowski, już tylko sama nad sobą pracowała.

Główniejsze jej role są: *Barbary* w tragedji Felińskiego, *Klary* w Egmoncie Goethego, *Ofelię* w *Hamlecie*, *Ludwika* w *Intrydze i Miłości*; *Księżny Eboli* w *Don Karlosie*, *Maryi Stuart* w tragedji Szylle-
ra, *Księżniczki Ruthland* w *Essexie* Laubego, *Sary* w *Salomonie* Szymanowskiego, *Livii Quintilli* w *dramacie* Rzętkowskiego, *Jadwigi* w tragedji Szujskiego. Podoba się także w komedji, jak np. w roli *Cecylii* w *Naszych najserdeczniejszych*, *Antoniny* w *Starych kawalerach* (Vieux Garçons) Sardou, *Janiny* w *Pojęciach* pani Aubray i *Anieli* w *Ślubach pannieńskich*.

Postaci wdzięcznej i twarzy nadobnej, tak pożądaných w artystce, natura nie odmówiła p. Modrzejewskiej, cechami zaś wybitnymi jej talentu są: kobiecość, uczuciowość, głębokie przejęcie się, wystudjowanie i zgłębienie roli, mimika odpowiednia, panowanie nad głosem, prawda i naturalność.

Nie powiemy żeby p. Modrzejewska wypowie-

działa już ostatnie słowo gry swojej, owszem jeszcze jej pole do dalszego postępu niezamknięte i zapewne coraz więcej doskonalic się będzie w przyjaznych okolicznościach. Warto jednakże zastanowić się, jakim sposobem w ciągu lat trzech niespełna o tyle postąpiła.

Oto pracą i jeszcze raz pracą.

W takim teatrze jak krakowski, gdzie towarzy-



Przemysław książę kujawski. (Odtworzył podług starożytnej pieczęci Jan Matejko).

wany do nowotworzącego się towarzystwa drugi brat artystki, Feliks Benda, nadmienił przedsiębiorcy o swęj siostrze. P. Modrzejewska, zawezwana, przybyła z Czerniowic. Przeznaczono ją do ról naiwnych i niezawodnie nie wyszłaby z tęg sfery, gdyby znakomity znawca i weteran sceny nie odkrył w niej wyższych zdolności.

P. J. Jasiński, b. dyrektor teatrów warszawskich,

stwo szczupłe, gdzie cztery razy na tydzień grać trzeba, aby nieliczną i niezamożną publiczność w zamiłowaniu dla sceny utrzymać, gdzie powtórzenie kilkakrotne jednej sztuki należy do rzadkich wypadków, trzeba bardzo i bardzo pracować. Ale też talent zamięłowany w swym zawodzie, ma tu wielkie pole do popisu i doskonalenia się. Wyuczenie się i wypróbowanie takiej tragedji jak Ryszard III np., od rozda-

nia ról do przedstawienia, najwięcej dwa tygodnie czasu zużywa. Tym więc sposobem młoda artystka szybko mogła się wyrobić i stać się ulubienicą sceny krakowskiej i poznańskiej. Talent, to tchnienie Boże; usilna tylko praca, wprawa, zamięłowanie i ustawiczna gra może go rozwinąć.

Wł. L. A.

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg).

XIII.

Sprowadzenie się Ewy do hrabiny Skalickiej nie uszło baczności młodych ludzi, mieszkających w ofi-



Pani Helena Modrzejewska

w rolach: **Ofelli** (w Hamlecie Szekspira); — **Sary** (w Salomonie W. Szymanowskiego); — **Maryi Stuart** (w tragedji Szyllera); — **Jadwigi** (w dramacie Szujskiego)

cynie tegoż samego domu, i było przedmiotem częstych pogadanek, a nawet obserwacji z okna w okno. Józef, wychodzący z domu o świcie, a wracający późno wieczorem, przepędzający święta w towarzystwie Bieniaka, lub w domu nad książkami i rysunkami, niewiele zważał na sąsiadkę. Tomasz stan narzeczonego wstrzymywał od próby zrobienia znajomości za pomocą telegrafii okiennej. Szopa zato wypadek ten uważał jako opatrnościowy i cały był w ekstazie. Rzeczywiście odniósł od razu pewną korzyść, nie darł bowiem tyle butów co dawniej; wartowanie na schodach, w sieni, w małym miejscowym ogródku nie forsowało podeszew; najwięcej zaś przesiedział w oknie, aby raz lub dwa razy na dzień ujrzeć piękną twarz Ewy między doniczkami fuksyi i pelargonii. Poezya na tém skorzystała, bo z nudów oczekiwania pisał po całych dniach pieśni, sonety, triolety, romanse i t. p. Kiedy czułe jego westchnienia, słodkie uśmiechy, przykładanie ręki do serca, półgłośnie okrzyki: aniele! piękna! boska!... nie wywierały żadnego wrażenia, nie uzyskiwały odpowiedzi nawet spojrzeniem, ośmielił się raz i drugi, zszedłszy się niby przypadkiem na schodach, powitać Beatrycę i spróbować rozmowy; lecz Beatrycza zwykle zniknęła, jakby na skrzydłach niesiona. Szopa zaczął się martwić tak upartym niepowodzeniem i postanowił silniejsze przypuszczać ataki. Przepisawszy w elegancki zeszyt kilkanaście najpiękniejszych swoich erotycznych utworów, upatrzył chwilę w której Ewa była w pokoju i rzucił zeszyt przez otwarte okno, ponad doniczki.

Ewa przeczytała te pseudo-poezye, ozdobione gestem przytaczanym jej imieniem i całymi szeregami wykrzykników i kropek.

Więrsze te rozweseliły ją nieco, tak z powodu niemyślnych humorystyki w nich zawartej, jak i z dydaktyki. Którąś kobiety to nie ucieszy, gdy poeta ją bierze za swój ideał, za temat swoich utworów — choćby nie nieśmiertelnych? Na drugi dzień jednak stróż odniósł zeszyt, który mu wręczono jako prawdopodobnie z okien panów kawalerów wypadły. Te niepowodzenia wstrzymały na czas pewien demonstracye Szopy; nie mógł jednak dać za wygraną. Po jakim tygodniu dąsów, napisał list niezmiernie poetyczny, z wynurzeniem miłości jakiej jeszcze świat nigdy nie widział i drugi raz widzieć nie będzie...

Oto tekst owego znakomitego utworu epistolarnego:

„Pani! Gdy na wyżynach niebios wszechwładny Twórca powołuje do życia człowieka, tworzy jednocześnie duszę mężczyzny i kobiety, stanowiące doskonałość, i posyła je na ziemski padół, ażeby tu śniąc o swojej niebieskiej ojczyźnie, szukały się, a spotkawszy, przypomniły raj utracony i zjednoczyły się nadziemskim szczęściem. Są niewidzialne nici wiążące serca, porywające je w czarowną krainę uniesień, wstrząsające burzą namiętności, elektryzujące Boskim miłości uczuciem; są echa, które raz zasłyszane, w duszy naszej brzmią przez całe życie!!!... Miłość, to kwiat życia, wyrosły w Edenie, a wonią swoją napelniający serca wybrane, płomień który dwie istoty ogarnia i do lepszych przeznaczeń prowadzi, jedną zaś trawi nieukojonym żarem, zostawując w sercu zgliszcząca i kurhany nadziei..... Pani! kiedyś cię ujrział po raz pierwszy, gdy mi zaświecił blask twego oblicza, przejęty zachwytem i uwielbieniem, poznałem że przechodził anioł, którego mi Twórca w niebie do ziemskiej wspólnej pielgrzymki przeznaczył. Odtąd dusza moja chwilki spokoju nie zasnęła. Dniem i nocą przebiegałem samotny ulicę miasta, szukając twoich śladów, a gdy los przychylny spotkał mi cię dozwolił, rozpylałem się w błogim szczęściu i dzień ten do jasnych dni życia mojego zapisywałem. W ogrodzie, owego pamiętnego wieczoru, los zdarzył mi usłyszeć i głos twój do mnie zwrócony. Zdawało mi się że słucham harmonii sfer niebieskich i tylko ciemność nocy nie dozwoliła ci dostrzedz wzruszenia jakim byłem przejęty. Kiedy nareszcie cudowne przeznaczenie sprowadziło cię pod wspólny dach ze mną, uznałem to za palec Opatrzności, za uśmiech losu, który się zdarza nawet w najbardziej tumanami nieszczęśliwego żywota, za błysk promienia słonecznego przez czarne chmury moich przeznaczeń!... Odtąd życie moje stało się pieśnią poświęconą wielbieniu

ciebie. Dnie całe tęsknięm okiem wyczekując twego zjawienia się w oknie, przelęwałem w rymy moje gorące uczucia. Cóż miałem zrobić z temi dziećmi moich samotnych marzeń, jeżeli nie złożyć je u stóp twoich? O! nie wzgardzaj skromnymi darami poety, który pragnie i życie całe przynieść ci w ofierze!... Gwiazdo moja przewodnia! wyrzecz słowo zbawienia, zabłyśnij mi, rozświeć mroczną ścieżkę mego żywota !!!...

Twój na wieki

E. S.

List ten, odznaczający się zarówno kaligrafią, jak i świetnością stylu, nie doszedł jednak według adresu. Ewa po powrocie od matki zastała hrabinę w tak zgryźliwym usposobieniu, takie manifestującą nieukontentowanie, iż postanowiła zrobić jej propozycją natychmiastowego rozstania się.

Bolała ją to że postępuje wbrew życzeniom Zygmunta, ale spodziewała się, że potrafi mu wytłumaczyć konieczność tego kroku. On taki delikatny, tak uważny na wszelkie względy przyzwoitości, uzna konieczność wydobywania się z tego fałszywego położenia. To pomyślawszy, rzekła do zrzędzącej hrabiny:

— Ze słów pani widzę, jak mało dotąd zdołałam zasłużyć na jej względy i zdaje mi się że najlepiej będzie, jeżeli pani raczy wyznaczyć termin do którego mnie jeszcze potrzebować będzie.

— A oczywiście, moja kochana, dawno już wspominałam, że dłużej ze sobą być nie możemy. Pannie co innego widzę weszło w głowę, choć ja ostrzegałam zaraz z początku że to napróżno. Zbałamuciłaś mi kuzynka, a spódnice dotąd niepohaftowane. Za tydzień mamy pierwszego, to panna Strzemska może wrócić do matki; tylko haftu proszę dokończyć.

Niesprawiedliwa była napaść o hafty, bo oprócz kilku wieczorów spędzonych przy książce, na wyrażne żądanie Zygmunta i z pozwolenia hrabiny, Ewa wszystek czas wolny od zajęć gospodarskich poświęcała szyciu, a w nocy dopiero w swoim pokoiku i przy własnej świecy robiła przygotowania do egzaminu.

Scena ta odbywała się w pokoju, którego okna otwarte wychodziły na podwórze. Szopa miał wzrok krótki; w chwili więc gdy hrabina posuwała się ku oknu, aby ochłodzić okragłe policzki zaczerwienione od upału i złego humoru, spadł jej na sam nos elegancko złożony liścik natchnionego sąsiada.

— Co to jest? wrzasnęła, wybuchając gniewem i podnosząc list z ziemi.

— Aha! panna nie traci czasu, zabezpiecza się na wszystkie strony. Niedarmo taka uczona!

Siadła hrabina opodal od okna i zaczęła list czytać, niewymownie ucieszona z tak świetnej okazji ponizienia mądrej panny. Biędnej Ewie krew zastęła w żyłach.

— Hm, hm, nadziemskim szczęściem — hm, hm, — nici wiążące serca — bardzo ładnie — elektryczność, płomień — jakieś androny — przechodził anioł — ładny mi anioł! — A, a, w ogrodzie — pamiętnego wieczoru — głos słyszeć — wybornie! to i schadzki były! — I miały być moje spódnice pohaftowane! — Cudowne przeznaczenie sprowadziło pod dach wspólny. O! to dawny romans! a niby takie niewiniątka! Mój Boże, komu tu wierzyć? Dalej znowu androny — tumany — gwiazdy — sfiksował czy co! Pięknie, pięknie, i to w moim domu takie zgorzenie! Proszę mi się wynosić natychmiast; szukajcie sobie innego wspólnego dachu.

Wypadek ten i grubiański komentarz hrabiny do listu był ciosem ogłuszającym dla Ewy. Uczucie godności własnej nie dozwoliło jej się tłumaczyć; wstała z krzesła i posłała lokaja po dorożkę.

Wróciwszy do pokoju, z tém samym milczeniem zносиła dalsze wygadywanie hrabiny i układała swoje rzeczy do kuferka. W tej chwili zadzwoniono i lokaj z przedpokoju zameldował pana Orzelskiego. Dreszcz wstrząsnął Ewą; hrabina, mimo tuszy, podskoczyła z krzesła jak piętnastoletnia panienska, a wszystkie sześć piesków ozwały się wrzaskliwym chórem, widząc swoją panią tak poruszoną.

Obie kobiety jednak omyliły się w oczekiwaniu: wszedł nie Zygmunt, ale stary Orzelski. Przy drzwiach hrabina wpadła na niego z podniesionym listem w rękę.

— Zawsze myślałam — ach! to pan? sądziłam że Zygmunt. Jakże się mięwa brat kochany? Zajrzałeś przecie do Warszawy. A dobrze, dobrze, boś też tu bardzo potrzebny.

Był to wprawdzie brat stryjeczno-cioteczny, ale brat tytułujący Skalicką panią siostrą.

— Witam kochaną siostrę dobrodziejkę, rzekł całując jej rękę. Jakto potrzebny? czy to ma znaczyć że kiedyindziej niepotrzebny bywałem? A może pani siostra ma jakie kłopoty? coś zafrasowaną widzę.

— To domowe sprawy, śmieszne zdarzenie; ale to potem panu bratu opowiem. Pójdźmyż, kochany panie Kalikście, do salonu. Co tam u was nowego? Jak zdrowie?

Pan Kalikst cofał się powoli ze drzwi, baczną wzrok zatapiając w Ewę, która przy swoim kuferku stała zgnębiona, domyślając się kogo zesłał los fatalny.

— Cóż to za sprawa domowa? zapytał znając pan Orzelski, siadając na fotelu w salonie.

— A, opowiem też panu bratu awanturkę niezgorszą. Czy lubisz czytać listy miłosne? *bilets doux*? Mam jeden prześliczny w rękę.

— Eh, gdzież to mnie staremu czytać; nie mam okularów. To może do mego syna adresowane?

— Oho, już coś słyszał, pomyślała sobie hrabina. Trzeba mu dowieść że ja nie winna nie jestem.

— Nie, rzekła, to od kawalera jakiegoś do mojej panny. Niechże sobie pan brat wystawi, na co to wychodzi robić ludziom dobrze. Przyjęłam do domu pannę ubogą, ale dobrze urodzoną i niby dobrze edukowaną; myślałam że będę miała jaką pomoc i wdzięczność, ale gdzie tam, ani mówić o tém w dzisiejszych czasach nie warto. Panna cała w romansach, do jednego się umizga, od drugiego listy przyjmuje, z trzecim widuje się w ogrodzie (niech czytelnik tego trzeciego nie bierze za potwarz, to tylko postać retoryczna, dla dodania mocy obrazowi: jest dwóch, mógł być i trzeci) słowem historia! Przewróciła by mi dom do góry nogami. Ale dosyć tego: powiedziałam jej, żeby sobie poszła z Bogiem.

Szerokie łono hrabiny falowało jak wzburzone morze; chłodziła się otwartym listem Szopy.

— Trzeba było wcześniej, rzekł Orzelski, tonem nagany.

— Albo ja co wiedziałam? zawołała hrabina, przewracając oczy i wrzuszając ramionami. W tej chwili bezczelny adonis rzucił ten list przez okno prosto we mnie: wziął mnie widać za swoją ulubioną.

— A bo może on do pani hrabiny wdycha, rzekł pan Kalikst jowialnie.

— Daj pan brat żartom pokój, odpowiedziała Skalicka, nie uważając odezwania się Orzelskiego za szyderstwo. Przeczytaj też brat co to za duby smalone. Sensu niema.

Pan Kalikst, mimo braku okularów, chwycił za list ochoczo, bo sprawa mocno go obchodziła. Obróciwszy się pod światło, jak mógł przeczytał pismo, zresztą bardzo wyraźne, a choć nie znalazł w niém tych okropności, jakie tworzyła bujna imaginacja pani hrabiny, zawsze jednak uważał list za nieoceaniony nabytek.

— I któż to jej takie rzeczy pisze? zapytał.

— A Bóg ją wie, albo ona co powie? uczony ptaszek.

— Ale, bo to widzi siostra, mnie doszły wieści, że i Zygmunt wdał się zabardzo z tą zwodnicą. Mocno mnie to zmartwiło, i dziwiłem się tymbardziej...

— A Zygmunt, jak wszyscy mężczyźni, byle maseczka gładka, to i dobrze. Com mu się naperswadowała! a teraz wyszło na moje. Pokaż mu pan brat ten list, niech mu się oczy otworzą.

Pan brat poważnie złożył list i schował do pugilaresu.

— To pani siostra, rozumie się, zaraz oddali tę panienkę?

— A naturalnie, dziś jeszcze; jak można najprędzej oczyścić mój dom od takiego zgorzenia.

— Trzeba było prędzej; no, ale jakoś to będzie. Nauka w las nie pójdzie.

Wpadłszy w dobry humor, pan Kalikst zaczął opowiadać hrabinie różne wiejskie facecye, nowe

wydarzenia, przyprawne staremi konceptami, i rozmowa stała się bardzo serdeczną i ożywioną.

Tymczasem biedna Ewa, z uczuciem zranionej dumy i miłości, odjeżdżała do domu matki, aby na jej łonie wypłakać swą boleść. Krótkie było marzenie szczęścia! czyż nazawsze już zburzone?

XIV.

Cichy, letni wieczór roziskrzył niebo tysiącami płomieni. Na zachodzie igrały jeszcze blaski wieczornej zorzy, co chwila innymi kolorami oblatujące walczące z niemi obłoki. Wyżej szafir nieba przechodził w coraz ciemniejsze odcienia i coraz mocniej z niego wyiskrzyły się gwiazdy. Gdzieś tam na polach, łąkach, lasach musiała być czarowna cisza, ale w Warszawie mało kto widział nawet pogodne niebo. Turkot powozów, wrzawa najrozmaitszych głosów, dolatywała do samotnego, niedokończonego budynku, w którym Józef i Bieniak, korzystając z przedświątecznego wieczoru, w najwygodniejszym, choć zawsze jeszcze niezbyt wygodnym, zakątku przepędzali czas na nauce i pogadance.

Ograniczywszy się prawie wyłącznie do szczupłego kółka swoich braci po toporze, Józef zajęty miał cały długi lipcowy dzień, od świtu do zmroku. A i wieczorem nawet Bieniak mu towarzyszył, lub gdy tego obowiązki oderwały, znalazł się zawsze jakiś robotnik potrzebujący porady lub objaśnienia i zatrzymywał go czy to w fabryce, czy na ulicy, czy w domu nawet. Przy robocie wesoły, w czasie krótkich wypoczynków chętny zawsze do pomocy radą lub czynem dla swoich towarzyszy, stał się Józef wkrótce ich starszym bratem, opiekunem, którego bezwarunkowo słuchali. Zachęcenie jego przykładem, wszyscy zdwoili usilność w pracy, a niektórzy zaczęli przywykać do wstrzemięźliwości i oszczędności, tym potrzebniejszej, iż stary Puchalski, widząc gorliwszą robotę i korzystniejsze dla siebie rezultaty, podwyższył zapłatę. Po kilku miesiącach wspólnej pracy, cała gromada robotników, ze swoim podmajstrzym i majstrem, stanowiła jakby jedną rodzinę, taki w niej panował duch zgody, wzajemnej uczynności, porządku i pracy.

Nie poszło to tak gładko od razu. Niektórym robotnikom w warsztacie Puchalskiego nie podobał się wpływ moralny i kierunek jaki nadawał Wolski całemu towarzystwu i próbowali bądź zuchwałem obejściem się, bądź rzucaniem śmieśzności na *panicza*, pozbyć się niewygodnego wzoru, za którym szła większość. Ale Józef na zuchwałę przytyki odpowiadał z tak łagodną powagą, a na wyśmiewania z tak szczerą wesołością i dowcipem, że malkontenci zmuszeni byli i tych drobnych manifestacji zaprzestać. Jeden czy dwóch niepoprawnych w pijactwie i innych złych nawożach, porzuciło warsztat w tak nieprzyjemny dla nich sposób zreformowany inni mniej lub więcej chętnie szli za ogólnym prądem, któremu kierunek nadał Józef, prawie bez namów, tym mniej bez zawiązywania spółek, towarzystw wstrzemięźliwości, wzajemnej pomocy, lub jakichkolwiek innych.

Zresztą przypomnieć należy, że ogół tych ludzi był z gruntu poczciwy i pracowity, bo takich wyłącznie Puchalski dłużej u siebie trzymał, brakło tylko między nimi inicjatywy, dla otrząśnięcia się z rutyny i nałogów. Puchalski do tego był zastary, Bieniak dotąd zbyt odludkowy i zbyt sobą zajęty, a wreszcie zamało wiedział i wiedział po za granicami swojej sztuki ciesielskiej, iżby mógł przeprowadzać reformy w obyczajach robotników. Teraz, pod wpływem tylu różnorodnych uczuć i wrażeń, był jakby olśniony, i mimo żelaznej swjej organizacyi, nie wytrzymałby może, gdyby nie poparcie silnej dłoni Wolskiego.

Pracowali obaj gorliwie: każdą godzinę świętą, każdy codzienny wypoczynek po pracy fizycznej, poświęcali pracom umysłowym. Silna wola charakteryzowała obydwóch w połączeniu; zagrzewani wzajemnym przykładem, cudów dokazywali. Józef z prawdziwą rozkoszą spoglądał na szybkie postępy swego ucznia. Mimowolnie pycha go ogarniała na widok tej inteligencyi, tej zdobyczy dla cywilizacyi, którą ożywił, wyhodował. Już teraz choćby Bieniak sam pozostał, nie wróciłby do nicości poprzedniej, aleby szedł naprzód o własnej sile. Płomień raz rozniecony, spotężnić mógł rozdmuchaniem, ale porzucony nawet, nie zgasłby już nigdy.

Jakkolwiek Józef starał się swoje gawędy naukowe w pewien ład ująć, sama dorywczosć wykładu pchała go w rozmaite kierunki. Rzutki umysł i niepokojny temperament Bieniaka, także często zbijał nauczyciela z obranego toru. Wolski pocieszał się nadzieją zimy, która im pozwoli pracować dużo i przy pomocy książek. W ciągłym pozostając obcowaniu ze swoim nowym przyjacielem, dostrzegł pewnych osobliwości w jego usposobieniu, których na razie nie umiał sobie wytłumaczyć. Bieniak często wpadał w zadumę; czasem opanowywało go jakieś zniechęcenie, upadek ducha, trudny do przemożenia. Z początku wyrwał się ciągle z systematu pedagogicznego jaki sobie ułożył Józef, a chciał wyłącznie prawie uczyć się poezyj. Kilka wierszy, które Wolski umiejętnie wydekłamał, jeszcze bardziej zapaliły go do tego kierunku. Józef do pewnego stopnia folgował tej chęci, mając na względzie i stronę estetyczną; ale przedewszystkiem szło mu o gruntowne podstawy naukowe; a gdy zapytał go raz Bieniak, czy kobiety z wyższym ukształceniem umieją wszystko to co mu o świecie fizycznym mówił, zrozumiał Wolski, że tajemną sprężyną, a przynajmniej pierwszą pobudką do kształcenia się, jest miłość Jana do jakiejś kobiety wyższego świata. Nie badał jednak głębiej stanu serca swego przyjaciela, oczekując aż mu ten sam się wypowiada.

Od czasu powrotu Ewy do domu matki, Bieniak stał się weselszym, ale i niespokojniejszym; widać było że mu coś ciąży na sercu, że szuka tylko sposobności do wynurzenia się swemu przyjacielowi, a gdy mu się ta nie od razu nadawała, chwycił ją prosto za włosy.

Już od dość dawna pewne kwestye wynikłe przy tygodniowej rozprawie robotników, wywołały między dwoma przyjaciółmi rozmowy treści ekonomicznej, które Wolski, czując ważność przedmiotu, zamienił w popularny wykład głównych zasad gospodarstwa społecznego. Jan słuchał z niezmiernym zajęciem teorii wytwarzania się bogactw i ich podziału, związanej z ogólnymi zarysami społeczeństw ludzkich. Historia, etyka i gospodarstwo społeczne musiały się ciągle wzajemnie wspierać w tym wykładzie, wcale do uniwersyteckiego ani do szkolnego niepodobnym, ale zastosowanym do stanu umysłowego rozwinięcia słuchacza.

Tego wieczora o którym wspomnieliśmy, obrał sobie Józef za temat pogadanki rodzinę, jej skład, stosunek jej członków między sobą i do całego społeczeństwa. Brał wzory z obyczajów społecznych, przytaczał fakta żywe, dotykające. Porównywał terazniejsze rodziny z temi, jakich wzory zachowała nam historia; szkicował społeczności średniowieczne, rzymskie, greckie wschodnie, patryarchalne, dodając wszędzie nieodzowne, choć krótkie objaśnienia historyczne, niewiele bowiem pod tym względem Bieniak zachował w pamięci z trzyletniego pobytu w szkołach. W rezultacie dobitnie wykazywał Józef, iż kwitnienie lub upadek wszelkich społeczeństw od wewnętrzного stanu rodzin zależy: od ich obyczajów siła i powaga praw, od ich moralności i oświaty przyszłość społeczeństwa, od ich pracy i moralnego rozwoju bogactwo lub nędza całego kraju. Ponieważ rodzina składa się z jednostek, zatem najpierwszym obowiązkiem człowieka, nawet z stanowiska społecznego, nietylko religijnego i moralnego, jest czuwanie nad sobą samym, nad swemi obyczajami, nad swoim sumieniem, najpierwszym zaś zakresem jego czynności jest rodzina. Dopiero po wypróbowaniu w tym kole sily swego charakteru i zdolności czynienia dobrze, po złożeniu w tej sferze doświadczeń umiejętności życia i wpływania na drugich, może człowiek szukać rozleglejszych zakresów, może z pewnym zaufaniem we własne siły występować na arenę publiczną, przyjmować urzędy, lub obowiązki społeczne; albo jeżeli pozostaje w prywatnym stanowisku, uważać się za czynnego członka tej społeczności. Tak rozumując, doszedł do wniosku, iż pierwszym i najważniejszym darem, jaki przynosi obywatel swemu społeczeństwu, jest liczna, zgodna, pracowita, moralna i światła rodzina.

— Tak, to niezawodna prawda, rzekł Jan. Nie raz zdarzyło mi się uważać, że kto o swoją rodzinę nie dba, lub nie umie ją pokierować, ten i między ludźmi prędzej lub później skrewi. Sądząc jednak

z tego co powiedziałeś, kochany panie Józefie, powinniśmy copędzej się pożenić.

— Bez wątpienia, odparł Józef z uśmiechem, tylko wprzód powinniśmy zdobyć dla tej przyszłej rodziny podstawę, to jest byt materyalny. Tobie to już prawie pora: zostajesz majstrem, zakładasz warsztat, który ci niewątpliwie spory dochód przyniesie, to i mógłbyś zadość uczynić głosowi serca, gdyby się ono odezwało; — choć znowu jesteś tak młody, tyle masz usposobienia do większego rozwinięcia umysłowego, iż lepiej robisz, zajmując sobie teraz głowę dopełnieniem naukowych wiadomości, niż ożenieniem.

— Przypnąć się muszę, że nie zasłużyłem na tę pochwałę. Jeżeli nie myślę o ożenieniu, to dlatego tylko, iż to jest dla mnie niemożliwem.

— Więc jesteś zakochany? zapytał Józef.

Korzystając z długo upatrywaney sposobności, opowiedział Jan z nieśmiałością historią swego serca. Obawy jego były próżne. Józef nie potępił bynajmniej tych uczuć; słuchał z zajęciem, ze współczuciem, z rozrzewnieniem, wypytyując się o wszelkie najdrobniejsze szczegóły, tak iż wkrótce Bieniak zapomniiał o nieubłaganym w rozmowaniu pedagogu, a widział przed sobą tylko wiernego przyjaciela.

— Ciężka to sprawa, rzekł Wolski, gdy Bieniak skończył opowiadanie. Dużą musisz przebieżać metę, nim będziesz mógł z pewną nadzieją powodzenia ofiarować jej swoją rękę. Pociesz się jednak tem, że nauczycielki nieprędko zamaż wychodzą, choćby były aniołami wdzięku, dobroci i rozumu. Nie widzę dla ciebie innego środka, innej drogi dla dojścia do celu, jak zdobycie sobie gruntownego ukształcenia, przy zachowaniu fachu w którym pracujesz. Sądząc z twojego opisu, musi to być kobieta wolna od przesądów; myślę więc że taki dzielny jak ty chłopiec codziennie będzie zyskiwał na szacunku w jej oczach.

Bieniak w milczeniu ścisnął mu rękę.

— Tyś bo szczęśliwy, z twoim rozumem; ale mnie gorączka pali; czasem zdaje mi się że muszę jakie szaleństwo popełnić.

Wolski uśmiechnął się melancholicznie, chciał coś odpowiedzieć ale się wstrzymał.

W tej chwili niepodobnym był do owego Wolskiego, zawsze pełnego humoru i pogody duszy; gdyby nie zmrok nocy letniej, może Bieniak dostrzegłby tę różnicę i mniej dowierzał zewnętrznemu spokojowi swego przyjaciela.

Zeszli w milczeniu po deskach, zastępujących miejsce schodów, i wydostali się z poza ogrodzenia na pustą ulicę.

— Miej odwagę i wytrwałość, szepnął Józef swemu koledze. Trzeba robić wszystko co w naszej jest mocy, a przyszłość zostawić Bogu. Dobranoc.

Wieczorna ta rozmowa uspokoiła nieco Bieniaka i wlała mu otuchę w serce, na Józefie jednak przeciwny wywarła skutek. Wolnym krokiem, ze spuszczoną głową, wracał do domu, myśląc więcej o własnym położeniu, niż o tajemnicy swego przyjaciela.

— Zimny, tak, powtarzał sobie, trzeba być zimnym. Silny wtenczas tylko gorącym uczuciem wybucha, kiedy mu działać należy, a dla mnie podobno nigdy ta pora nie nadejdzie. Pozostaje praca, praca zagłuszająca pragnienia serca. Zresztą, czyż to są istotne pragnienia? czyż potrzebuję tyle siły na ich stłumienie? Jakaś miękkość wkradła mi się do duszy, jakieś obalamucenie imaginacyi, które strząsnąć powinienem i strząsnę niezawodnie. Wszystko to są mąry, które się próżnujących umysłów czepiają, i nie wiem jakim sposobem mnie się czepiły. Bądź co bądź jednak muszę się mieć na baczności w obec Róży. Dotąd nie mogę sobie najmniejszego zapomnienia wyrzucać, i pewno ani jej przez myśl nie przeszło, że jej surowy kuzynek, że młody ten dziwak i moralista... Ale zawsze najlepiej będzie unikać okazyi: nie pójdę tam — chyba na wesele Tomaszka.

Gorzki uśmiech przeleciał mu po smagłej twarzy.

Kiedy Józef wszedł do pokoiku, jaki wspólnie z Tomaszem i Szopą zajmował, był tak pogodny i wesoły jak zwykle. Można by przysiąc, że myśl jego zajmowały tylko konstrukcyje ciesielskie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

N A S Z E T Y P Y,

(z rysunkami i opisem Leona Kunickiego).



Pastuch owiec gromadzkich.

Przejazd przez szczyty Kaukazu.

skręślił

Kaźmirz Łapczyński.

(Dalszy ciąg).

Skreśliśmy na lewo w góry, i rozstali się z Aragwą. Dopiero na pierwszej stacyi za Duszetem, w Ananurze spotkamy się z nią znowu. Chociaż w Georgii dzień grudniowy cokolwiek dłuższy jak u nas, zawsze jednak porządnie krótki; mrok prędko zapadł, a gdyśmy wjeżdżali do Duszetu, odległego od Tyflisu o wiorst 52, było już zupełnie ciemno. Od Gartiskaru, niepostrzeżenie prawie, blisko o 1600 stóp wyźwignęliśmy się wyżej, Duszet bowiem 3140 stóp nad poziom morza jest wzniesiony. Jest to małe miéscisko, niecałe dwa tysiące ludności liczące, w połowie Georgian, w połowie Ormian. Mieszkańcy głównie zajmują się handlem z góralami.

Na poczcie usłyszeliśmy smutne: *niema koni*. Ha! wyspać się przynajmniej można będzie wygodnie, bo są dwa gościnne pokoje: duży i mały, a gości tylko

jedna para, znajomi już nam antagoniści, w dużym przechodnim pokoju rozlokowani. Pana Eliasza nie było w domu; Iwanes, samotnie siedząc przy łóżku nad porozkładanymi na stole zakąskami, burdiumkiem się pocieszał, sącząc czerwone wino z koziej skóry do szklanki. Wchodzących nas serdecznie powitał, mówiąc:

— *Pierwsze widzenie—znajomość; drugie—braterstwo*. Proszę ze mną do zakąski. *Jeść chleb biedaka, dobry uczynek*, tak u nas po kartalińsku powiadają. Proszę do zakąski. *Chleb od biedaka słodki*, nie trzeba nim pogardzać.

— Piękny mi biedak—rzekł doktor—co uczonych Niemców na swym dworze trzyma. Gdzież towarzyszy? Czy czasem w pojedynku nie zginął?

— Nie. Poszedł do znajomego Aznaura (szlachcica), a ja jego rzeczy pilnuję, żeby mi nie powiedział: *miedbały stróż, twarzysz złodzieja*. No, czemu wy mego chleba jeść nie chcecie?

— Dziękujemy najserdeczniej, nie głodniemy, pragniemy tylko gorącej herbaty i kazaliśmy już samowar nastawić.

— Jeść nie chcecie, to wino zemną pijcie; zresztą ciebie piersi boją, to sobie swoją śmiertelnicę herbatę pij; ale doktor musi ze mną winka skosztować. Nic nie pomoże. Ty sobie myślisz: *miód dobry, ale smolą traci*, bo to wy wszystkich naszych burdiuków nie lubicie, zato, że je trochę naftą słyhać; ale *najprzód zaśnij, potem sen zobaczysz*, najprzód skosztuj, potem powiesz czy niedobre moje kachetyńskie. *Zając najbardziej się boi, nim z kotliny wyskoczy*. Tylko jedną szklankę wypij, a zobaczysz że się ośmielisz. Już nalana. Jak odmówisz, wielka będzie dla mnie krzywda i obraza.

— Dopiero będzie—rzekłem—a ja żebym był doktorem, to jużbym się jaknajmocniej na Iwanesa obraził.

— Zaco na mnie się obrażać? Nic niegrzecznego nie powiedziałem. Ja nad wszystko grzeczność cenię, i zawsze sobie te nasze ulubione wierszyki powta-



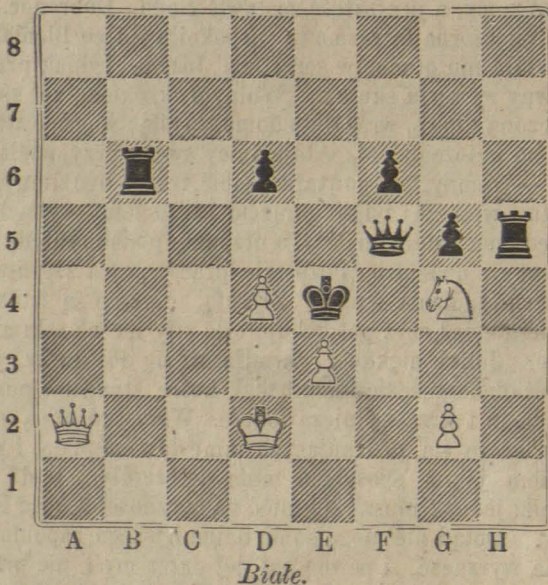
Szafarka dworska.

Szachy.

ZADANIE XXXIII.

Białe zaczynają i dają mata za 5-ém posunięciem

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 32.

Białe.

Czarne.

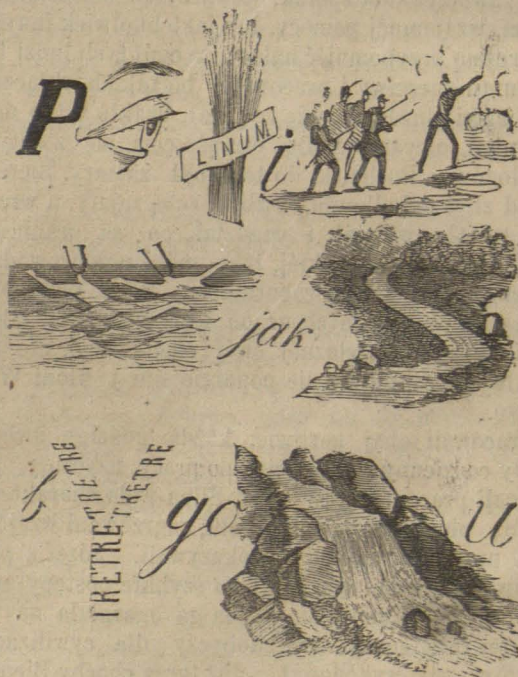
- | | |
|-----------------------------|-----------------|
| 1) E2—G4 | 1) G3—G4 biorą. |
| 2) H7—F5 | 2) Jakkolwiek. |
| 3) F5—D7 lub D5—C5 † i mat. | |
| | 1) H3—G4 biorą. |
| 2) H7—E4 biorą | 2) Jakkolwiek. |
| 3) D5—D6 lub D8 † i mat. | |

rzam, co mnie ich jeszcze w dzieciństwie nauczono: *Zesli się filozofowie i powiedzieli: pan kieruje sługą, a doświadczenie rozumem. Piękny ród ocenili na tysiąc a grzeczność na dziesięć tysięcy; bo jeżeli człowiek nie niewart, na nic piękne pochodzenie. Powiedz, zaco się ma doktor na mnie obrazić?*

— Iwanes—rzekłem—namawia doktora do pijatyki; przysłowie zaś mówi: *Iść na wojnę lepiej z rozumem*.

(Ob. dodatek.)

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 40.

Zboez opodał, gdy nie możesz podolać.

(Dodatek.)

nym, na pijatykę z głupim; pokazuje się więc jakie ma Iwanos o doktorze wyobrażenie.

— Kto ciebie tego przysłowia nauczył? śmiejąc się wołał Iwanos. Wszystkie kartalińskie przysłowia prawdę mówią, tylko to jedno kłamie bezczelnie. Ja nie chcę z głupim nigdzie iść, a na pijatykę najochotniej pójdę z moim rozumnym przyjacielem doktorem.

— Piękny mi przyjaciel — odpowiedziałem — z którym chce Iwanos jak z wrogiem sobie postąpić; bo ponieważ jedno tylko kartalińskie przysłowie kłamie, więc prawdą jest co drugie mówi: *lepiej zbić z nóg kijem, niż winem*.

— Złapał cię, Iwanosie, rzekł doktor. Jak się nie wytłumaczysz, to się obrażę.

— Na kogo? na mnie? pytał Iwanos. — Na niego się obraż, że ci śmiał taką impertynencją powiedzieć. On cię posądza, że cię można zbić z nóg taką kózką malenką kachetyńskiego. Jabym mu tego nigdy nie darował.

— Doktorze! Wyprowadź go z tego kacerskiego błędu; wydójdźmy tę biedną kózkę.

Doktor wymawiał się stanowczo, a Iwanos rzekł: — Wiem dlaczego nie pijesz. *Gospodarz nie śpiewa, gościowi przykro*. Pierwój tu przyjechałem, więc ja tu gospodarzem. Jak zaśpiewam, musisz wypić. I zaczął donośnym głosem:

— *Nie mam poddany, h i sam poddanym nie jestem, jednak zboże i wino z roku na rok mam w zapasie*.

Jest to zgrabny czterowiersz, pokrewny naszemu dwuwierszowi: *szlachcie w zagrodzie równy wojewodzie*. Piosneczka nie pomogła, doktor nie odważał się na kozę.

— Powiadasz, mówił Iwanos, że dzisiaj nie możesz pić. No, za bezpłodność jednoroczną nie trzeba krowy zarzynać; ale przydybię ja cię jeszcze z moim burdiukiem, nim przez góry przejedziemy. Naco go mam przez Krzyżową górę dźwigać; trzeba się przysłowia trzymać: *lżej nieść w brzuchu, niż w ręku*.

Otworzyły się drzwi. Weszło jakieś obdarte Ormianiątko, z większym od siebie samowarem, mówiąc piskliwie:

— Batonil (panie) już wykupiał.

— Dobrze, zacy kamerdynerze — rzekł doktor — postaw, dziękujemy ci.

— Piękny mi kamerdyner — zauważył Iwanos. — *Niańki nie było, osła nazwali księżycowym*.

— Nic nie rozumiem — rzekł doktor.

— Jak ci wytłumaczę, to przyznasz, że to bardzo pięknie powiedziane. Posłuchaj. Każdy naród ma różne nedorzeczne zwyczaje, więc i u nas się trafiają. Pani dostawszy sługę, nie woła jej Kato! Mariam! Nina! Thamar! Liza! lub tym podobnie, choć to są imiona na chrzcie świętym jej nadane, ale nazywa wymyślonem przez domowników. Przewiska te bywają bardzo nierozumne, a wszystkie na jedno kopyto, np. *Pirimtwarisa*, to jest księżycolica, co znaczy że twarz pani jaśnieje jak księżyc, a sługa do takiej właśnie pani należy. *Edemisa*, to jest rajska, czyli należąca do rajskiej. *Pirimzisa*: należąca do słonecznicolej. *Mzementwarisa*: należąca do słońca i księżycy. *Tachatulis*: należąca do obrazu, czyli że taką piękną ma panią jak obrazek. Stare przysłowie wyśmiewa taki zwyczaj i mówi: *Niańki nie było, osła nazwali Mtwarisachar*, to jest należącem do księżycy.

— Prawda że przysłowie dobre, powiedział doktor, ale zwyczaj Persyą pachnie.

— Nie Persyą, rzekł Iwanos, ale człowiekiem, bo gdzie się tylko człowiek ruszy, głupstwo za nim jak cień chodzi. I u was, choć wy od Persyi daleko, pewno się znajdują podobne nedorzeczności. Ja tylko o tym wiem, bo mi to jeden z waszych mówił, że jak piszecie list do takiego co nic nie może, to mu koniecznie trzeba powiedzieć że on wiele moźny, i to nie raz, ale dwa razy, przed całym światem na kopercie.

Śmiejąc się, potwierdziliśmy że to prawda.

Wszedł nasz pan Elias, wysokiego wzrostu.

— Dobry wieczór, rzekł doktor. Cóż to tak wcześniej z wizyty?

— Pocóż tam długo siedzieć? Dobry wieczór panom.

— Mój towarzysz — mówił Iwanos — trzyma się

starój rady; długo w gościach nie bawi, *bo rankiem gość — złoto; siedzi do wieczora — srebro; dłużej niż dwa dni — żelazo*. Wszak prawda, mój ty duży przyjacielu?

— Bez tych oświadczyń tylko. Wiście panowie że bardzo złą nowinę przynoszę. Obsunęły się śniegi na Gudzie. Parę tygodni upłynie, nim Osetyny drogę oczyścza. Przyjdzie się do Tyflisu wracać...

Wyciągnęły się nam twarze z doktorem.

— Kto to mówił? — spytał szybko i niespokojnie Iwanos.

— Dawoth (Dawid) — smutnym głosem odpowiedział Eliko.

Roześmiał się Iwanos i zawołał:

— *Za piérwszy ogórek i nową wieść drogonie płac, prędko stanieją*. Dawoth plecie sam nie wie co, a ty nam takich gościńców od szlachty nie przynos; *Podarunku Aznaura nie kładź na stole*. Nieprawda. Nie obsunęły się śniegi.

— Zkądże znowu taka pewność? — Raz na raz się obsuwają, może być że się stoczył nowy obwał na naszą biedę.

— Nie — odpowiedział lakonicznie Iwanos.

— Z nim mówić niewarto — zawołał porywczoko Eliko. — Dawoth przecież z palca sobie tego nie wyssał.

— *Mul odparzony widzi sroki w niebie*. Dawotha przed dwoma laty zasypały śniegi na Gudzie; ledwo go napół żywego Osetyny odkopali; więc mu się zdaje że już nikt nigdy przez góry nie przejedzie.

— Gadaj — że tu z nim — wołał Eliko. — Ja powiadam, że przez góry przejechać nie można, a on powiada: nieprawda, droga musi być dobra, bo Dawoth w śniegu siedział. Gdzież tu sens?

— Ja nie powiadam że droga dobra, tylko że świeżego obwału niema. Dawoth słyszał o obwale ale o tym dawnym, już rozkopanym od kilku dni. *Słyszeli że Ali umarł, ale nie wiedzą który*. Dziwna rzecz, na Nowy rok już i osioł w stajni wie że dzień dłuższy, a Dawoth jeszcze się o tym nie dowiedział. Co on nam będzie o drodze rozpowiadał; my wszystkich co z gór jadą spotykamy, a on za piecem siedzi. Na to wyjdzie: *mąż był na wojnie, żona mu o wojnie rozpowiada*. Przecieżby na pocęcie najprzód wiedzieli.

Doktor zaniepokojony wybiegł do pocztowego dozorca. Eliko cokolwiek zwątpił o śniegowym obwale, więc tém usilniej przy nim obstawał.

— Ty zawsze i wszystko lepiej od całego świata wiesz. Przecież tam i Georgi był i mówił nam to samo...

— *Diabły moczyli burdiuki, choć wina nie mieli* zawołał Iwanos. Na co się oni obadwaj tak naszą drogą opiekują, kiedy nie myślą jechać z nami? *W sianie ognia nie skryjesz*, jużby nam tu o nowym obwale wróble na dachu świergotały, gdyby był rzeczywiscie.

Doktor niezadługo powrócił w dobrym humorze i zdał relacyą, że świeżego śniegowego obwału na drodze w górach niema, i że to o dawnym zastarzała nowina.

— Brawo! — zawołałem. Lawiny śniegowe i kamienne obwały, zamiecie i biegunowe wichry, czekajcie, póki gór nie miniemy!

— *Kłamstwo ma krótkie nogi* mówił Iwanos. — Patrz Eliko, jak to ono nie może długo spacerować na tych swoich biednych nóżkach.

Eliko, choć pobity, nie chciał jednak złożyć broni i choć słabo, upierał się jeszcze przy swoim.

— Daj pokój, rzekł Iwanos, nas trzech, a ty jeden. *Jeżeli całe stado baranów przeciw drzewu beczy, drzewo uschnie*.

— Co znaczy — zauważał doktor — że należymy do przezuwających. Pretensyą o to mieć trudno, skoro Iwanos i siebie do nich zaliczył.

— Tak się przysłów nie tłumaczy — bronił się Iwanos — nie o wyrazy idzie, ale o to żeby się Eliko na nas zapatrzył i wyparł się złego ducha niedowiarstwa, żeby sobie wciąż powtarzał co nasi starzy mówią: *Bóg szcudry, nie rozpaczaj biedaku*, żeby wierzył, że szczęśliwie dostaniemy się za góry, co daj Boże. Gdyby po drodze wolno nam było wstąpić do namiotu patryarchy Abrahama i złotkiem kieszenie wyładować i o tobyśmy się nie gniewali.

— Co to za namiot? — zapytałem.

— Stoi na najwyższym szczycie Mkinwari. Bięda, że bardzo wysoko. Straszne śniegi nigdy tam nie topnieją.

— O takiej górze nawet nigdy jeszcze nie slyszalem.

— O wielu rzeczach mogłeś nie slyszec — mówił Iwanos. Mkinwari jest najwzysza góra przy całej daryalskiej drodze, a po Jałbuzie najwzysza na całym Kaukazie.

— Przy daryalskiej drodze — rzekłem — najwzyszy jest Kazbek, i on właśnie po Elborusie, czy tam Jałbuzie, najwzyszy jest na całym Kaukazie.

— Europa żadnej sobie z nami ceremonii nierobi, odpowiedział Iwanos. Podobało się wam nas Kartalińczyków nazywać po grecku Georgianami, albo po persku Gruzunami — i nazywacie. Podobało się wam górę Mkinwari po turecku Kazbekiem nazywać, więc nazywaj ją sobie, ale ja nie będę. Naco mam po turecku mówić, kiedy chwala Panu Bogu niema tu nigdzie ani jednego Turka, a wszystkie wąwozy do kolusienieczka Mkinwari obsiedli Osetyny, nasi kartalińscy biedni pobratymcy.

— Ważna rzecz! — rzekł Eliko. Czy tak, czy owak nazywać, rzecz się nie zmieni; zresztą jeżeli chcesz góry koniecznie językiem miejscowych mieszkańców tytułować, to nasze kartalińskie Mkinwari wyrzuc za płot, bo Osetyny Kazbek nazywają *Czeristi-czub* (Chrystusa szczyt).

— Widać nie wiesz, że i tak i tak nazywają — rzekł Iwanos — ale Mkinwari starsza nazwa, bo jeszcze pogañska.

— Uważasz — mówił do mnie doktor — polski *czub*. Utrzymują, że w języku osetyńskim jest wiele słowiańskich i niemieckich wyrazów. Mamy próbkę słowiańską. Iwanosie! Czy niema więcej czubów w Osetyi, tylko ten jeden?

— Może są, ale o nich nie slyszalem. Najwięcej to jest *chochów*. Zylga-choch, Kriu-choch, Adaj-choch, Kion-choch, są to wszystko szczyty wiecznymi śniegami pokryte.

— Choch... Żeby troszkę inaczej, byłaby niemczyzna — zauważał doktor.

— Dajmy pokój lingwistyce — rzekłem — zapominały o rzeczy ważniejszej, o złotem runie, co się widać na półimperyaly przemieniło w naszym prozaičnym wieku. Wiemy już że na mkinwarskim czubie stoi namiot Abrahama i że w nim można kieszenie złotem wyładować. Cóż dalej, Iwanosie? Niema tam na straży jakiego straszego byka, albo siedmiogłowego smoka, jak za dobrych czasów Medei?

— Niema, ale jest nierównie trudniejsza przeszko-da. Żeby móz bezkarnie nabrać złota i klejnotów. co w namiocie otaczają cudowny żłobek Chrystusa Pana, trzeba być oczyszczonym od wszelkiego grzechu i mieć serce bez najmniejszej skazy. Powiadają, że nasz przedostatni król, szanowny staruszek Irakli (Herakliusz), wysłał tam raz po pieniądże bardzo świątobliwego duchownego z synem, wyprawa się jednak nie udała: ojciec zginął a syn wrócił, przyniósłszy tylko drzazgę ze żłobku i kawałek płótna z namiotu wystrzępionego przez wichry.

Pogadanki ciągnęły się do dziesiątej. Poszliśmy spać, ulokowawszy się z doktorem w małym pokoiku, w nadziei że nas nikt do rana ztamtąd nie wyruguje, Nadzieja się ziściła, jednak mało co spałem; rozkoszna myśl „wracam,“ zasnąć mi nie dawała.

Rano smutek: koni niema. Jest zato całodzienny deszcz ulewny, na naszej nieadamizowanej drodze bardzo niemiła niespodzianka. Cały dzień przesiedzieliśmy na pocęcie, patrząc przez okno na zabłocony rynek i na deszczowe kałuże. Po obiedzie szkuta się gdzieś widać z podróżnemi rozbiła: dzwonek za dzwonekiem przed poczętą zajeżdżał, i za każdą razą nowy przelotny ptak wpadał do naszego potrzasku, koni bowiem ciągle nie było. Grzeczność dla dam wyrugowała nas z małego pokoiku, i odtąd dzieliłiśmy smutne losy całego męzkiego towarzystwa, szczerze upakowanego w piérwszym pokoju. Dniem jeszcze jako tako, ale gdy przyszyło kłaść się spać, pokazało się, że ogólna powierzchnia boczna podróżnych, przewyższała powierzchnię pokoju. Moja wyżlica cały dzień zła była jak chrzan. Mocno się niepokoilem o łydki towarzyszy duszeckiej niedoli, na szczęście ocalały, tylko jakiś ukochany piesek

został troszkę poturbowany. W nocy znowu dzwonek zadzwonił, w naszych okolicznościach wcale nie miły odgłos, bo to strata drogiego miejsca, a zysk deszczowych strug i błota, którego już i tak dosyć mamy. Tą razą ptak uciekł, chwilę tylko zabawiwszy w potrzasku. Był to oficer jadący jako kurjer do Tyflisu, a dla kurjerów zawsze i wszędzie są konie. Zdążyliśmy się dowiedzieć dobrej nowiny, że koło południa na saniach przejeżdżał przez kaukaskie szczyty i że Osetyni przez parę dni nie spodziewają się nowego obwał, pogoda się bowiem na wierzchołkach gór ustaliła i tęgi mróz trzyma. Pod wpływem tak pomyślniej nowiny, słodko usnąłem na ziemi, ani dbając o to, że przez nowych podróżnych mogą być jak robak zdeptany.

Po deszczu pogoda, po smutku radość. Dzień 5 grudnia się popisał, słońce świeci i konie mamy, wprawdzie dopióro o południu, ale i za to Bogu dzięki. Na wyjeździe rozglądam się po Duszeciu i rzecz dziwna, miescina, co mi się najszkaradniejszą na całej kuli ziemskiej wydawała, dopóki nie było koni, teraz, przy odgłosie dzwonka, wcale nieźle wygląda. Okolica ładna, otwarta; sfalowane wzgórki, gdzie-niegdzie lasami i gajami zarosłe, romantycznie otaczają miasteczko, a gęstej miny dodaje mu obok miastka na górze wznosząca się ruina, oraz bielejąca się znacznie dalej rezydencja Czylajewych, jednej ze starożytnych rodzin Georgii. W samym mieście najciekawszą budowlą jest stara georgiańska forteczka, obecnie zajęta na szpital wojskowy.

Wśród dwóch secin bezpiecznych kamiennych domostw o płaskich dachach, co się bez żadnego porządku w gęste stadko zgromadziły, sterczą, jakby dwaj pasterze, dwie świątynie, georgiańska i ormiańska.

Miasteczko dokoła opasują warzywne ogrody, od strony południowej ciągną się piękne sady, dalej pola bardzo urodzajne; niczego więc nie braknie, bo i woda jest dobra w krętej rzeczulce *Duszetis-chewi*.

Przed przyłączeniem Georgii do Rosssyi, dochody z Duszetu i okolicznych wiosek należały do królewicza Wachtanga, jednego z licznych synów króla Herakliusza. Duszet niebardzo musiał królewicza bogacić, skoro dziś do kasy miejskiej z opłat od 45 sklepów, od szynkarzy, rzemieślników i rzeźników, wpływa rocznie ledwie półtora tysiąca rubli, które napowrót wypływają na naprawę dwóch mostów i na utrzymanie policji.

Pospieszamy do Ananuru, to wspinając się na wzgórze, to opuszczając w doliny. Okolica wesoła, lesista i urozmaicona. Wioski gęste, droga niedaleka: wszystkiego 12 wiorst.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

Historja jaką była i jaką jest. — W. M. Thackeray. — Kilka słów o nim. — Dzieła. — Odczyty o czterech Jerzych 1714—1830. — Europa w r. 1714. — Dwór hanowerski. — Król Jerzy. — Przybycie do Anglii. — Dwór jego. — Maszt i słoń. — Król i kraj. — Sąd o zasługach Jerzego I. — Rys charakteru Jerzego II. — Jego meztwo. — Mundar z pod Oudenarde. — Królowa. — Życie pań dworu. — Gra i gracje. — Król się bawi. — Jerzy III. — Upadek patrycyatu. — Monotonia dworskich obyczajów. — Charakter Jerzego III. — Anekdoty. — Obląkanie króla i zgon. — Jerzy IV. — Jego młodość i pierwsze występy. — Sprzączka do trzewików. — Miłosierdzie. — Charakter Jerzego IV. — Zakończenie.

Próbowano już nieraz pisać historję historyi, ale dotąd żądanie to właściwie nie zostało spełnione z taką swobodą sądu i bezstronnością, jakby wymagać można; więcej na stronę zewnętrzną dziejów zwracano uwagi, niżeli na ich ducha. A w duchu tym właśnie historia ulegała i ulega najdziwniejszym zmianom. Jak wszystka ludzkie, dzieje też przetwarzają się z czasem ku pożytkowi wieków którym służą. Weźmy naprzykład dzieje Grecyi, jak je pojmowano w średnich wiekach, w chwili odrodzenia nauk i dzisiaj; jak niebo do ziemi będą do siebie niepodobne. Wieleby o tym napisać można i za prawdę porównanie byłoby zajmującym; pokazałoby ono czem jest postęp nie tylko krytyki faktów, ale głębszego ich wyrozumienia.

W naszych czasach zmieniły się też wielce poje-

cia dziejów i sposób ich pisania. Wymagamy po dziejopisie czegoś więcej niż prostego faktów rejestru, czegoś innego niż apologii przeszłości, niekoniecznie jęj krytyki, lecz nadewszystko odtworzenia zgasłego żywota, o którym sąd gotowibyśmy samym sobie zostawić, byleby obraz był wierny.

Dawniej historyk wielkimi rysami kręślił postaci i fakta; dziś z potrzeby wnuknięcia w rzeczywistość ich charakter, wynikało pragnienie szczegółów, drobnostek, posunięte niekiedy do przesady i zbytku. Żądamy dziś i tła stosownego do obrazu, i akcesoryów na pierwszym planie i mnóstwa odcieni, jakich od dawnych historyków nie wymagano. Historia do pewnego stopnia upopularyzowała się, stała przystępniejszą, poufalszą, często zanadto anegdotyczną; choruje niekiedy na zakulisowe zwierzenia i pamiętnikowe drobnostki. W ogóle realizm tu panuje, jak w całej sztuce epoki. Zrzuciły togi dzieje, a jeśli się tak wyrazić godzi, w szlafrok się przebrały.

Dążności tej nowej szkoły historycznej ani zbyt potępiać, ani zanadto wynosić się nie godzi; nie jest ona bez korzyści i nie jest bez niebezpieczeństwa. Jak wszystko co się do przesady posuwa, może być wadą, ale w mierze pewnej z bogactwa i nowe źródła otwiera. Nie miejsce tu zapewne obszerniej się nad tém rozwodzić; ale chcąc czytelnikom dać poznać jedną z ciekawych prac Thackeray'a, przełożoną właśnie na język francuzki, jego humorystyczno-historyczne odczyty amerykańskie, na krótko przed śmiercią w Stanach Zjednoczonych i niektórych miastach Anglii powtarzane „O czterech Jerzych, 1714—1830,” nie mogliśmy się powstrzymać od tych kilku słów wstępu, które one wywołały. Praca to z wielu względów oryginalna, którą tylko autor pamiętnika Henryka Esmond mógł tak pojąć i tak wykonać. Już chociażby z historyi Pendennys'a, przełożonej na język polski (o której bardzo umiarkowanym powodzeniu u nas z największym podziwieniem słyszemy), nazwisko Thackeray'a powinno być u nas znanem. Zmarły przed kilką laty autor, wraz z Dickensem, należy do najznakomitszych współczesnych powieściopisarzy. Jego *Vanity Fair*, *Księga Snobów*, *The history of H. Esmond*, *Memoirs of Barry Lyndon*, *Pendennis* wreszcie, pozostaną w literaturze angielskiej, nie starzejąc się jak inne, jak mianowicie nowe francuzkie powieściowe roboty.

W. M. Thackeray, który rozpoczął swój zawód literacki w *Frazer's Magazine* od szkiców, powieści i krytycznych artykułów, w r. 1851 zwrócił się, po wydaniu części swych utworów najobszerniejszych, znowu ku literaturze i krytyce. Była to właśnie chwila gdy odczyty wchodziły w zwyczaj. Thackeray, jak Dickens, czytał w Anglii i Stanach Zjednoczonych o humorystach angielskich w XVIII w. (wydane odczyty w r. 1851 i 1853), potem o czasach Jerzego IV, potem o czterech Jerzych... Te to odczyty jego właśnie, które miały wielkie powodzenie w Ameryce, a teraz wyszły nieco obcięte w przekładzie francuzkim, chcemy choć w głównych zarysach dać poznać czytelnikom naszym. Malują one w sposób nader żywy charakter, dwór, życie czterech panujących w Anglii Jerzych i są dodatkiem do dziejów obyczajowych niezmiernie zajmującym. Thackeray szkicuje raczej, niżeli maluje, daje profile więcej, niż postacie, popiersia, niż pełne portrety; ale w tych kilku śmiało rzuconych zarysach tyle jest ognia i siły, że starczą za najwykończone wizerunki, a często je odkradzionym życiem, odgadnionym charakterem, przechodzą.

Autor takim naprzykład rozpoczyna obrazem Europy w r. 1714.

„Opisy podróży ostatniego wieku smutne dają wyobrażenie o ówczesnym stanie Europy. Opustoszałe pola, zniszczony kraj, chaty napół spalone, wieśniacy z drżeniem ubogi sprzęt zboża usiłujący ochronić, gromady żołnierzy błakających się z bagnietami u karabinów, kaprale za nimi z kijami i batogami, dla zawrócenia ich do koszar. Jaśnie oświecony przejeżdża w złoconej karęcie, grzęznąc na gościńcu i klnąc poczytliwona, który go niedosyć szybko do pałacu wiezie. Zdała od hałasu i wrzawy miejskiej, stoi pałac jaśnie oświeconego księcia, wzniesiony z marmuru, złocony, obrzydliwy, poczwarny; gęsty szpaler drzew zasłania mu pola zniszczone.

Tu mieszka książę ze dworem; ogrody pod sznur wyciągnięte, woda wytryska z fontan, a tuż szumi las, w którym chłopiec w łachmanach obławą napędza zwierza, nie śmiąc go dotknąć sam pod karą śmierci. Łowcy wystrojeni jak cienie i zjawiska przesuują się gąszczami; książę galopuje na przodzie, bijąc w trąbkę za nim dwór, panowie i panie w ubiorach myśliwskich. Odzywają się rogi łowczych, ścigany jeleni wśród okrzyków i trąbienia, pada pod ciosem ostatnim. W tryumfie powracają do zamku, a szlachetny wędrowiec, jakiś baron Polnitz lub hrabia Koenigsmarck, lub kawaler Seingalt przypatruje się świetnej kawalkadzie ciągnącej przez ulice lipowe, i powróciwszy do hotelu, posyła imię swe, meldując się marszałkowi dworu, potem stroi się w galowe suknie, według ostatniej mody paryzkiej skrojone, i wprowadzony przez szambelana, ma honor złożyć najgłębsze uszanowanie księciu, księżnie, damom i panom dworu, zasiada do gry w faraona i wygrywa lub przegrywa tysiąc ludorów jednego wieczora. Jeśli ta scena odbywa się w Niemczech, mamy dla dopełnienia obrazu obfite puhary wieczorne; ale zarówno w Niemczech, Francji czy Hiszpanii, jeśli wzrok sięgnie po za gęste drzewa, ujrzy pola i wsie w najokropniejszej nędzy. Po wioskach w których rolnictwo się nie opłaca, głód panuje; wychudłe woły ledwie pług pociągnąć mogą, a wieśniacy drząc kryją się do biednych chat swoich.“

Od tego mistrzowskiego począwszy obrazu, Thackeray przechodzi do skręślenia równie trafnego i szerokiemi rysami narzuconego wizerunku dworu hanowerskiego.

„Gdy korona Anglii, pisze dalej, przeszła na głowę Jerzego Ludwika hanowerskiego, nie bardzo mu się spieszyło ją przywdziać. Wyczekiwał czas jakiś, serdecznie żegnał się ze swymi Hanowerczykami, i spokojnie wyruszył objąć tron przodków swoich, jak się wyraził sam w mowie przed otwarciem parlamentu. Przywiózł z sobą gromadę Niemców, których lubił towarzystwo, i ci bezustanku otaczali króla. Przybyły także dwie ulubienice, panie de Kielmansegg i de Schulenburg, które król kreował hrabiną Darlington i księżną Kendal. Dwie te damy namiętnie kochały Hanover i zrazu rozstać się z nim nie chciały, ale gdy jedna z nich naostatek zdecydowała się jechać za królem panem, druga przez zazdrość poszła w jęj ślady. Żartobliwe usposobienie ludu angielskiego zabawiło się szyderstwem z nich; jedną nazwano „masztem“, z powodu wychudzenia, drugą z powodu otłości „słoniem.“ Osoba króla, dworzanie jego otoczenia, sposób w jaki szlachtę angielską przychodzącą na powitanie przyjmował, także satyryczne wywołały pociski.“

W sposób bardzo trafny kręśli Thackeray charakter króla Jerzego I i okoliczności w jakich znajdował się przybywszy do Anglii, kładąc w usta jego słowa: „Przysięgam mi wierność... Bał to poprostu bałamuctwo. Wszak jest najmniej pięćdziesięciu pretendentów do korony bliższych odemnie. Dla wigów jestem narzędziem; wy torysowie nienawidzicie mnie; wy księżę arcybiskupie, usmiechający się na kłęczkach i mrużący modlitwę do nieba, wiecie doskonale jak mnie mało obchodzą wasze 39 artykułów i niedorzeczne kazania; wy milordowie Bolingbroke i Oxford, spisko waliście przeciwko mnie miesiąc temu; wy księżę Marlborough zdradzicie mnie jak drudzy, jeżeli w tém upatrzycie korzyść dla siebie.“

Thackeray używa do skręślenia dowcipnej karykatury czasu wszystkich materyałów, jakie tylko znaleźć może: Hogartha, Spectatora, Plotkarza, pamiętników barona Polnitz, karykatur, broszur i satyr współczesnych, a umie z nich wybrać rysy prawdziwe i znaczące.

„Pozostał Jerzy wiernym zobowiązaniom swym względem ludu angielskiego, a jeśli nie był od wad wieku wolniejszym niż inni, winniśmy mu przynajmniej wdzięczność za zachowanie w całości praw naszych. Prawda, do której wszyscy równe mamy prawo, każe nam z uszanowaniem i wdzięcznością mówić o ludziach tej epoki. Są skazy na wizerunku Jerzego I, ale są i strony godne uwielbienia: meztwo, umiarkowanie, sprawiedliwość, które mu przyznać należy.“

„Jerzy II, mówi autor, był człowiekiem dosyć ograniczonego umysłu. Mylord Hervey maluje go

nam jako bardzo sentymentalnego. Był nim zapewne tylko dla królowej i ukochanych swych Niemców, bo z Anglikami nigdy nie chciał poufale przedstawiać. Oskarżano go o skapstwo, chociaż po sobie wielkich zasobów nie zostawił. Nie znał się wcale na sztukach, ale też nie miał do tego pretensyj. W sprawach religijnych, jak ojciec, nie był hipokryta; o ludziach wyobrażenie miał nieosobliwsze, ale mogło być inaczej? Smutne doświadczenie uczyniło go sceptykiem. „Dziki jest, ale odważny,” mawiał o nim ojciec. Wistocie walczył mężnie pod ks. Eugeniuszem Marlboroughiem. Szczególniej odznaczył się pod Oudenarde. Pod Dettingen koń o mało go nie uniósł w szeregi wojska nieprzyjacielskiego; z wielką trudnością potrafił go powstrzymać i zsiadłszy stanął na czele piechoty, której mężstwo zagrzewał. Ani na chwilę się nie uląkł powodzenia pretendenta, które nie zdołało przerwać ani interesów jego, ani zabawy. Pokazywał się często publicznie w sukni stariej, którą miał na sobie pod Oudenarde, a lud witał ją z uszanowaniem, bo odwaga nigdy z mody nie wychodzi. Walpole, Hervey, pamiętniki i korespondencje społeczne służą i tu za materiał. Życie prywatne Jerzego II nie było nabyt budującym, pozostał wszakże najczulszym małżonkiem dla Karoliny ks. Anspach, którą poślubił i która go prawdziwie kochała. Thackeray powiada o niej:

„Prawie niepodobna sobie wyobrazić do jakiego stopnia ta kobieta go kochała. Znosiła często opuszczenie, wzgardę, najprzykrzejsze próby, a była mu wierna. Dla niej świat cały mógł ginąć, byle on ocalał. Kochała dzieci jak najczulsza matka, ale byłaby je wszystkie dała posiekać dla niego. Na najmniejsze skinienie króla, przybiega usmiechając się, choćby była smutną, przechadza się z nim, choć zmęczona, bawi go, choć boleść ma w sercu. Poświęcenie jej dla męża jest niemal cudowne. Kochała go aż do ofiary życia własnego.”

Pope dostarcza autorowi obrazka życia pań dworu królowej.

„Płynąłem na statku do Hampton-Court, powiada, gdym spotkał księcia, a z nim fraucymer cały, konno powracający z polowania. Panny Belleaden i Lepell wzięły mnie w opiekę i zaprosiły na obiad. Zgodziliśmy się na to wszyscy że życie pań dworu było najnudniejsze w świecie, życząc tym co im go zazdrościły, aby popróbowaly. Zrana karmi się szynką westfalską; potem przez rowy i płoty uganiać się na pożyczanym koniu, często w największy upał; czasem, co gorzej, podrapać się gałęziami, może być i miłym i pożytecznym dla przyszłych żon myśliwców, ale to zabawka nieciekawa. Otarliśmy twarz ledwie, trzeba iść godzinę paplać i marznąć w pokojach pani; potem jeść obiad, czy się chce czy nie chce, a do północy pracować, gadać lub czas pędzić jak się nadarzy. Niema najskromniejszego życia wieśniaczego, któreby lepszym od tego nie było.”

Gra, jak się zdaje, nie w mniejszym była używaniu jak dzisiaj. „Gra, powiada lord Seymour, jest tak upowszechnioną, że ten coby w towarzystwie nie umiał gier najużywanych, byłby uważany za złe wychowanego człowieka.”

Stary Jerzy II, dotrzymując słowa danego umierającej żonie, nie ożenił się, ale przywiązał do lady Yarmouth i zabawiał się wesoło, dając bale i maskarady. Trzeba mu wszakże oddać sprawiedliwość, że żony żałował, opłakiwał ją i godzinami siadywał przed jej portretem, poczem wracał do lady Yarmouth, lub pani Walmoden. W siedemdziesiątym siódmym roku życia zmarł Jerzy II nagle; służący który mu przyniósł zwykłą czekoladę, znalazł go bez życia rozciągniętego na podłodze.

Trudnym do odmalowania w krótkim odczycie było panowanie Jerzego III. Przeciąg czasu od 1760 do 1820 roku, zapelnia mnóstwo postaci znaczących i nie dających się pominąć. W dziejach Anglii jest to epoka krytyczna. Kolonie amerykańskie powstają przeciwko metropolii, oddzielają się i odpadają... Rewolucya we Francji, Napoleon I, oddziaływają na kraj przeważnie. Pitt, Chatam, Nelson, Wellington, Walter Scott, Byron, świecą z kolei tym latom pracy, walki i przygotowania do nowego życia. Thackeray oznacza tę epokę jako powolną przemianę i upadek stariej szlachty i patrycyatu angielskiego.

„Przy wstąpieniu na tron Jerzego III, mówi, patrycyusze byli jeszcze w całej sile swój potęgi... Przewaga ich uznana, zaprzeczana być nie mogła. Tytuły, majoraty, krzesła były dziedziczne w izbie parów, a nawet w izbie niższej... Rząd rozporządzał mnóstwem posad i pensyj, których członkowie izby lordów przyjmować się nie wstydzili... Fox wszedł do parlamentu dwudziestoletnim, Pitt zaledwie osiągnął pełnoletność, ojciec jego tak samo. Dobre to były czasy dla patrycyuszów.”

Autor, odmalowawszy obyczaje epoki dosyć szczegółowie, skróśliwszy kilka wybitniejszych postaci, przystępuje wreszcie do wizerunku Jerzego III.

„Jerzy III i królowa jego żona, mieszkali w willi wytwornej, ale bez wielkich pałacowych pretensyj. Była ona w tém miejscu, gdzie się dziś wznosi mieszkanie wspaniałe królowej Wiktorji. Królowa matka (żona Fryderyka, ojca Jerzego III, a syna Jerzego II, który umarł nie wstąpiwszy na tron) rezydowała w Carlton-House. Sztychy społeczne przedstawiają nam go jak raj ziemski, z parkiem, łąkami zielonemi, staremi drzewy i posągami starożytnymi. Kochała się ona w nich i często odbywała tu rady ministrów z lordem Bute. Pod cieniem zielonych konarów zastawiano herbatę. Lord Bute był tak zniechęconym od ludu angielskiego, iż mało znajdujemy w historii przykładów równie zażartej niechęci. Wszystkie stronnictwa go napastowały. Wilkes ścigał go swém piórem jadowitem. Churchill swemi niełitościwymi szyderstwami; lud witał go świsaniem. Chatham się też ze swojej strony wiele do zajęcia tego przyczyniał.

„Jerzy III odziedziczył po matce jej przesady i zabobonność, a razem mężny i uparty charakter przodków swych przejął, z tą różnicą, że oni byli wolno myślący, a Jerzy miał głęboką wiarę, kościoła był podporą i obrońcą. Jak wszyscy ludzie słabi, nie lubił energicznych, nie cierpiał Foxa, Reynoldsa, Nelsona, Chatham'a i Burkego. Wpadał w wściekłość na widok ludzi posądzanych o nowatorstwo. Mierności były mu upodobane we wszystkiem. Pod koniec życia skarżył się gorzko na zaniedbane wychowanie; ale najznakomitsi mistrze nie byłiby potrafili rozwinąć słabej jego inteligencji, możeby tylko smak wykształcili i natchnęli uczucia szlachetniejszego.”

Mnóstwo tu szczegółów zajmujących, z talentem Thackeray'owi właściwym uwytatnionych. Król lubił zawsze muzykę kościelną, na której się znał dobrze i często w niej nawet brał udział czynny. Liczne krążą o tém anegdoty. Gdy postarzał i osłepł, lubił kazać przedstawiać „Samsona” (operę), szczególniej podobały mu się miejsca w których mowa o ślepotcie jego, o niewoli, nieszczęściach. W czasie wykonywania narodowego hymnu w kaplicy królewskiej, wybijał takt laseczką. Jeśli który z paziów osmielił się mówić, lub zachowywać nieprzyzwoicie, też laseczka przywoływała go do porządku.

„Dom króla Jerzego, pisze dalej Thackeray, był wzorem angielskiego szlacheckiego domu. Wstawano rano, ludzie byli dobrzy, miłośni, życia skromnego, ale dwór nudny i żywot monotony. Młodzi książęta znieść nie mogli tej jednostajności mieszczańskiej. Dzień do dnia był podobny jak dwie krople wody. Co wieczór król o jednej godzinie całował świeże twarzyczki swych córek, księżniczki całowały w rękę ojca i matkę, pani Thielke przynosiła królowi szlafmycę, a dworzanie ziewali w przedpokojach, aż szczęki trzeszczały.”

Król często wyjeżdżał konno i poufale rozmawiał z wieśniakami pobliskich folwarków. Raz trafiło się że nikogo nie zastał w chacie, lecz znalazł bardzo pięknie wyglądającą szynkę, którą zabrał ze sobą, zostawując w papierku pięć gwinei z napisem: „na kupienie szafki zamczystej.” Opowiadają takich anegdot mnóstwo.

Wiadome są szczegóły nieszczęśliwego obłąkania Jerzego III. Osłepły, głuchy prawie, biedny król błądził po pustym pałacu, w imaginacji komenderując wojskami. Od listopada 1810 r. nie panował już wcale i rzadkie miał chwile przytomności.

Ślicznie kończy nasz autor smutny swój obraz. „Żywy jeszcze, pozbawiony był tronu. Niedola go znękała, dzieci się przeciwko niemu podniosły; podpora starości, córka ukochana, poprzedziła go do grobu. Próżno, jak król Lear, osiawiała głowę schy-

łał do zastygłych warg córki, próżno błagał ją, aby zaczekała chwilę na niego i straszną podróż razem z nim odbyła...”

Nadzwyczaj trudnym, jak sam autor wyznaje, zadaniem było odmalowanie wizerunku Jerzego IV.

„Dnia 12 sierpnia 1762 r., w czterdzięci siedem lat po wstąpieniu na tron domu brunświckiego, w całym Londynie bito we wszystkie dzwony, oznajmując ludowi, że Jerzy III miał mężkiego potomka. Wszyscy chcieli widzieć ukochane dziecię, i za kratami parku S. James, w kolébecie zdobnej w pióra strusie, królewska dziecina ukazywana była ludowi. Pomiędzy wielą podarkami które jej przysłano, znajdował się łuk indyjski i strzały, ofiara wierznych poddanych z Nowego Yorku. Dziecko niezmiernie się nim bawić lubiło.

„Natura i okoliczności, pisze dalej, podały sobie ręce, aby zepsuć książętko... Nieprzerwane nudy dworu wypędziły zeń młode pokolenie, nie mogące znieść towarzystwa króla, który książki swe numerował, lub bawił się muzyką, i królowej, zajętej tabakierką i robotą na kanwie.”

„Pierwszém dziełem dokonaném przez bohatera naszego, mówi Thackeray, było wynalezienie nowej sprzączki do trzewików. Sprzączka ta, wielkich rozmiarów, okrywała całą nogę. Strój zajmował go nadewszystko. Mówią że zrazu miał projekta wspierania sztuki, nauk, literatury, ale temperament nie dopuścił.

„Przebiegłszy całe tomy anegdot o panującym, nie znajdzie się między niemi nad pół tuzina zajmujących istotnie. Rys jego charakteru najwięcej przynoszący mu honoru, to może jego serce ludzkie i miłośierne. Będąc jeszcze regentem, dowiadywał się pilnie o skazanych na śmierć, wyszukiwał coś na ich obronę i usilnie starał się o zmianę wyroku. Dowiedziawszy się raz, że rodzina pewnego oficera była w największej nędzy, posłał jej bezimiennie około ośmiuset gwineiów. Pomagał również Sheridanowi i byłby go nie opuścił, gdyby śmierć nie przerwała zawodu genialnego pisarza.”

Kończymy na tém sprawozdanie o pracy Thackeray'a, która, przyznać to należy, jest wiernym i z talentem odwzorowanym obrazem wieku i społeczeństwa angielskiego.

NIEŚMIAŁY.

Komedia w jednym akcie.

Według Edwarda Paillerona: *Mur mitoyen*,

ulożył wierszem

Kazimir Kaszewski.

(Dokończenie.)

Scena 17.

ZDZISŁAW, KLARA.

KLARA na stronie.

Trzeba się spieszyć, albo wszystko pójdzie na nic.

ZDZISŁAW, na stronie.

O, gdybym tylko wiedział, że jestem kochany!

KLARA.

Czy, na wypadek, gdyby nowe zaszły zmiany, Poprowadzisz pan walkę do ostatnich granic?

ZDZISŁAW, nieco strwożony.

Walkę?

KLARA.

Walkę!

ZDZISŁAW, energicznie.

Zapewne!

(mięknięc)

Jednak...

KLARA, na stronie.

Trudna rada,

Potrzeba go osmielić, bo on wciąż upada.

ZDZISŁAW, na stronie.

O, gdybym tylko wiedział...

KLARA.

Gdyby moja matka

Ręki méj odmawiała panu do ostatka...

ZDZISŁAW.

Przebóg!

KLARA.

Cóż pan uczynisz?

ZDZISŁAW energicznie.
Natenczas...
(mięknięc) jeżeli...

KLARA, stanowczo.
Jam gotowa na wszystko, tak!
(do siebie) To go ośmieli.
(głośno)

A gdyby ojciec wrócił po nowym namyśle
I wzbraniał ci mój rękę?
ZDZISŁAW, energicznie.
O! wtedy...
(mięknięc) pomyślę.

A pani?
KLARA, na stronie.
Cóż z nim począć? Woli ni troszeczeki.
Trzeba z nim będzie, widzę, zacząć z innej beczki.
(głośno)

Względem ręki mój matka ma inne zamiary,
Ale ja powołania do roli ofiary
Niemam, więc jestem wszystkiem tém strasznie znę-
Bo... bo... Kocham innego. [kana,

ZDZISŁAW, podbiegając ku niej.
Kogoż, kogo?
KLARA, tajemniczo.
Pana!

ZDZISŁAW, w poruszeniu.
Mnie?

KLARA.
Tak jest.

ZDZISŁAW, w ekstazie.
Aniołowie, czyście to słyszeli?
Ona mnie kocha, kocha... oh...

KLARA, na stronie.
To go ośmieli.
ZDZISŁAW.

Kocha mnie, rękę swoją oddać mi gotowa!
Wszak to, przed niebem, usta twoje powiedziały?
O, pani! niech twe serce nie cofnie mi słowa,
Którém ja dziś oddycham i goreję cały!

KLARA, na stronie.
A przecież!

ZDZISŁAW.
Ty mnie kochasz! Rozkoszneż wyrazy!
O, gdybym ja miał słowa na swoje rozkazy!...
Ale jestem niemowa! Słuchaj!... Po tej drodze
Ja od lat dwóch codziennie śladem stóp twych cho-
I okiem i myślami, tu, od tej altany, [dżę,
Ścigam po wszystkich drogach cień mój ukochanej.

KLARA, na stronie, z zadziwieniem.
Proszę, jak on to mówi!

ZDZISŁAW, stopniowo ożywia się.
A gdy dzień się chyli,
Ja wracam upojony i korzystam z chwili,
By zebrać szczątki, które u swego podnóża
Zapomnisz, spoczywając.
(Wydobywa przedmioty z surduta, w miarę wylizania ich)

Patrz, pani, ta róża,
Poznajesz ją? A oto książeczka z wierszami,
Którą często czytałaś...

KLARA, na stronie.
Do góry nogami.
ZDZISŁAW, prowadząc dalej inwentarz.

Oto wstażeczka, której barwy wypływały
Od moich pocałunków. Oto rękawiczka,
Którą raz zostawiłaś nad brzegiem strumyczka.
Oto flakonik, spinka; tu grzebiuszek mały,
Który, szczęśliwy, tonął w twym jedwabnym włosie.
Oto chusteczka z cyfrą, wykąpana w rosie.
To druga, która drgała na twój szyi białej.
Patrz! skarby, za którymi wydeptałem drogę...
Czemuz ja ci tak serca okazać nie mogę!
Widziałabyś skarb jaki nieczęsto się zdarza;
Bo serce nieśmiałego, to skrzynia lichwiarza...
Nie umiem się słowami zalecić piękniemi,
Jestem z tych nieszczęśliwych, co z miłości niemi!

KLARA, w zdumieniu.
Panie...

ZDZISŁAW, w egzaltacji.
Mówić nie umiem; lecz przez Boga w niebie!
Niech teraz kto spróbuje odebrać mi ciebie!
Kochasz mnie! O, jam odtąd na wszystko gotowy,
Jam jest zbrojny miłością twą od stóp do głowy.
Gdyby przyszło, z szatanem wezmę się za bary,

I nie dam sobie wydrzeć, nie dam, mojej Klary!
Miłość twa mnie natchnęła niespożytą siłą.
KLARA, na stronie, patrząc na niego z pod oka.
No proszę! kiedy mówi, to chłopiec aż miło!
ZDZISŁAW, coraz więcej zapalając się.
Czyż te dziwne manewra nigdy się nie skończą?
Jeśli chcą nas połączyć, to niech raz połączą;
A nie, to się obejdzim. Sami do ołtarza...

KLARA.
Jakto, panie! cóż znowu?
(na stronie) Oh, on mnie przeraża!
ZDZISŁAW, łagodniejąc.
Zapomniałem się... wybacz, Klaro ukochana!
Pójdę do matki, padnę przed nią na kolana,
Powiem jej: „Pani... jak tam... słowem.. Kocham Kla-
[rę...”

Przecież mnie nie odepchnie, przecież da mi wiarę.
Jakżeż mi jutro słońce świecić będzie mile...
Jakże rachować będę pozostałe chwile,
Póki cię żoną moją nie nazwę! O, droga!
Co ci jest?... nic nie mówisz... powiedz mi, na Boga,
Czym ci się nie naraził? porzuć udreżenia...
Klaro!

(bierze jej rękę)
KLARA, nie odwracając się.
Ah!
ZDZISŁAW, całując jej rękę, klęka.
Moja żono!

Scena 18.
ZDZISŁAW u nóg KLARY, LUBICZ i TURKALSKA wcho-
dząc, klócą się i nie spostrzegają dzieci.
TURKALSKA, idąc przed Lubiczem.
Nie!
LUBICZ.
Dość poniżenia!
Prosiłem długo; pani wciąż mnie tylko drażni;
Więc i ja nie pozwalam i kwita z przyjaźni!
Chcesz pani wojny, dobrze; będziemy się bili!
(Oboje razem spostrzegają Zdzisława u nóg Klary)
TURKALSKA i LUBICZ razem.
Co to znaczy?
(Zdzisław wstaje)
KLARA, na stronie.
Przerwali w najpiękniejszej chwili!
LUBICZ.
Zaraz mi tu, Zdzisławie!
TURKALSKA.
Chodź tu Klaro!
ZDZISŁAW, do Turkalskiej, poważnie.
Pani!

Ja kocham Klarę; umrę lub żyć będę dla niej,
I proszę o jej rękę, tu, w obec rodzica.
Wiem, że pani masz w ojcu moim przeciwnika;
Ale ten mur graniczny tej części dotyka,
Którą dźierzę po matce mój prawem dziedzica.
Więc, by się raz pomyślnie skończyła ta sprawa,
Na panią do tych cegieł zléwam moje prawa.
Turkalska zachwycona. Lubicz przez czas mowy Zdzisława
dawał różne znaki niezadowolenia.
LUBICZ.
Co ty pleciesz, Zdzisławie?
ZDZISŁAW, półgłosem.
To, że od dziś rano
Ja jestem pełnoletnim.
LUBICZ, na stronie.
Mnie go zbuntowano.
TURKALSKA.
Pan Zdzisław nie żartuje?
LUBICZ.
Cóż to cię ośmiela?
Jakiem prawem się rządysz?...
ZDZISŁAW.
Prawem właściciela.
(do Turkalskiej)
Tego muru się rzekam dzisiaj i na wieki.
LUBICZ.
Gdzie zapiszesz zrzeczenie?
ZDZISŁAW, półgłosem.
W rachunkach z opieki.
LUBICZ, do siebie.
Trudno; jestem pobity!

TURKALSKA, do Klary.
Czy kochasz Zdzisława?
KLARA, półgłosem, poważnie.
Teraz mi się podobał.
(wchodzi dwiema stronami Krętosz i Gmatwacz).

Scena 19.
Ciż, KRĘTOSZ i GMATWACZ.
KRĘTOSZ, cicho do Lubicza.
Zła sprawa.
GMATWACZ, cicho do Turkalskiej.
Zła sprawa.
(Lubicz i Turkalska czynią znaki jak gdyby ich to mało
obchodziło).
LUBICZ, do Turkalskiej.
Cóż, pani?
TURKALSKA, zbliżając Klarę do Zdzisława
Ja to czynię, co mi serce każe.
LUBICZ, podobnie.
Ja zawsze gustowałem w pięknej pannie Klarze,
Więc jeżeli się zgodzą...

TURKALSKA.
I my się zgadzamy.
ZDZISŁAW, całując w rękę ojca.
Ojczel!...
KLARA, całując w rękę matkę.
Matko!...
TURKALSKA, do córki.
A Julian?
KLARA.
Przepadł, proszę mamy.
LUBICZ, podając rękę Turkalskiej do wyjścia.
Dajże mi pani rękę.
ZDZISŁAW, podając rękę Klarze.
Klaro, szczęście moje!
KLARA, na stronie.
Musiałam go ośmielać, teraz go się boję.
(Wszyscy chwilę zatrzymują się przed odejściem. Obraz. Na
przodzie sceny Krętosz i Gmatwacz, którzy całej poprzedniej
scenie przypatrywali się w smutnym osłupieniu; po lewej ich
stronie Zdzisław z Klarą, po prawej Lubicz z Turkalską. Na-
reszcie rodzice i dzieci po ostatnich słowach odchodzą).

Scena 20 i ostatnia.
KRĘTOSZ, GMATWACZ.
(Chwilę patrzają za odchodzącymi, potem na siebie spoglądają
ponuro).
GMATWACZ.
Aniśmy przeczuwali, co się tutaj święci.
KRĘTOSZ.
Obdarli nas, obdarli bezwstydni klienci.
GMATWACZ, porywa wolamin swój ze
stołu i wybiera się do wyjścia.
Pójdę gdzie na kraj świata!
KRĘTOSZ, wstrzymując go.
Tylko nie w tej chwili.
GMATWACZ.
A cóż tu będę robił? toć ich poženili.
KRĘTOSZ.
Tak, lecz co do dezercyi ja protest założę.
GMATWACZ.
Jakto?
KRĘTOSZ.
Kto się ożenił, ten rozwieść się może.
GMATWACZ składając wolamin.
Masz słuszność, a to znowu korzyść nam przyniesie.
KRĘTOSZ.
Więc ich nie opuszczajmy.
RAZEM.
To w ich interesie!
(Zasłona spada).
K O N I E C.